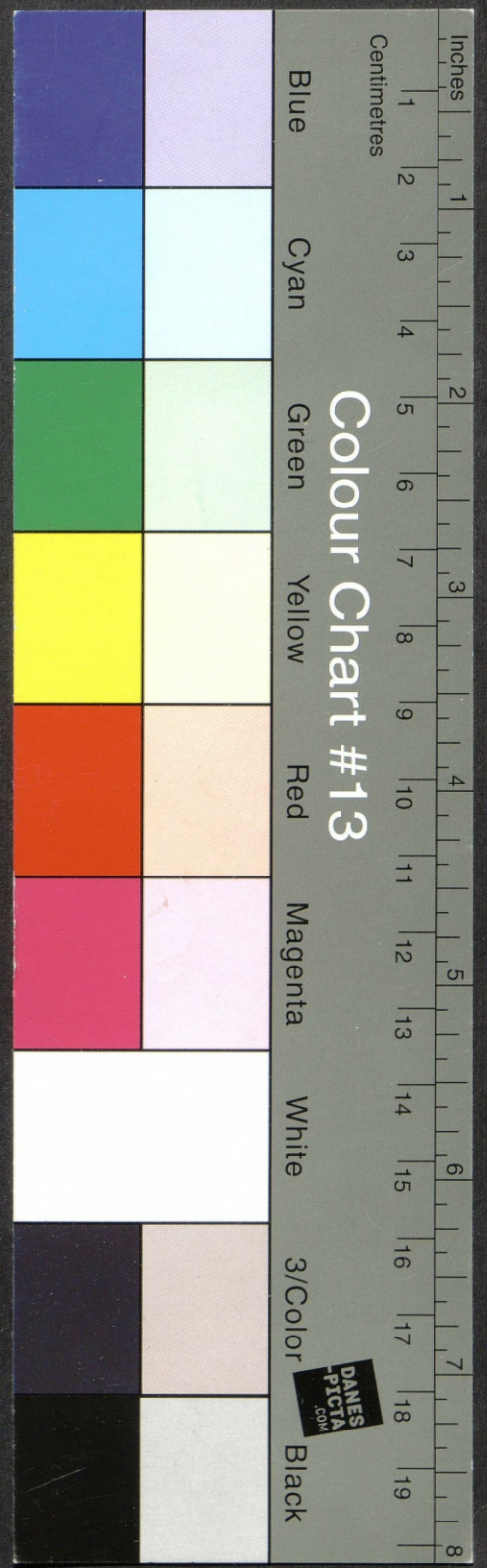
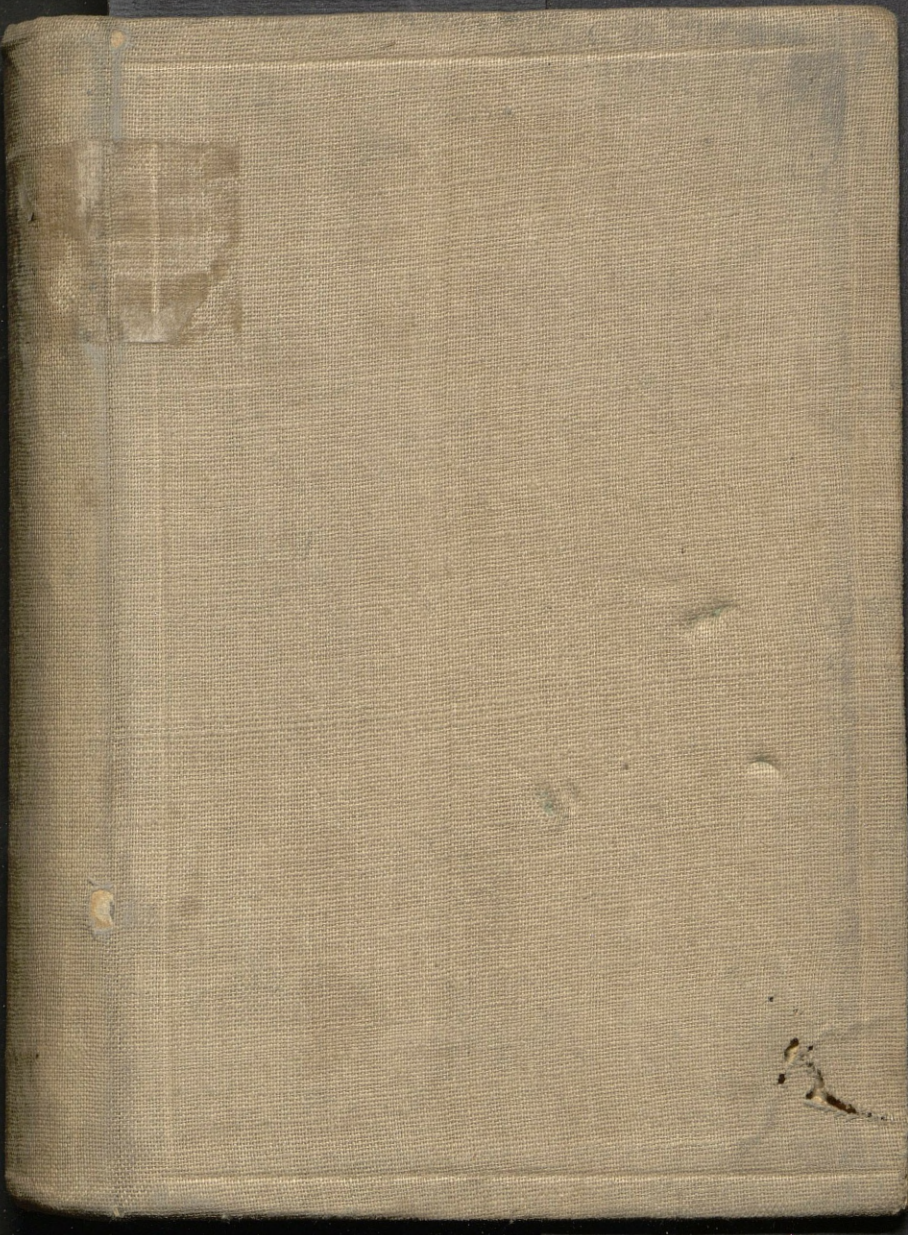


Grey Scale #13

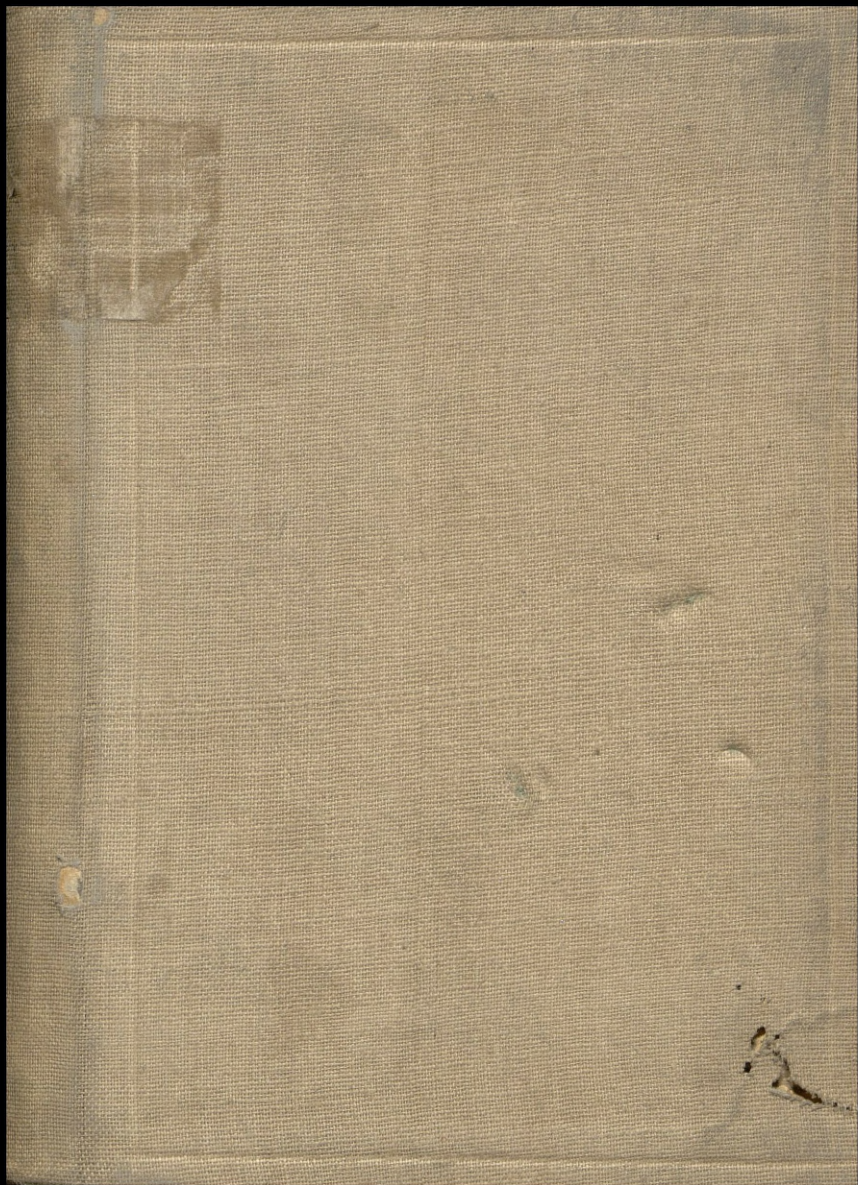


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13







K

ARTKI

HISTORYCZNE I LITERACKIE

PRZEZ

Alexandra Kraushara

autora *Dziejów Arciszewskiego.*

I.

POSELSTWO JAKÓBA ŚMIAROWSKIEGO  
DO BOHDANA CHMIELNICKIEGO.  
DRAMAT RODZINNY.  
PIOTR WĘŻYK WIDAWSKI.  
SYLWETKI LITERACKIE Z NIEDAWNEJ  
PRZESZŁOŚCI.

WYDANIE DRUGIE POPRAWIONE.

KRAKÓW.

G. GEBETHNER I SPÓŁKA.

1894.



# KARTKI

## HISTORYCZNE I LITERACKIE

PRZEZ

*Alexandra Kraushara*

autora *Dziejów Arciszewskiego.*

### I.

POSELSTWO JAKÓBA ŚMIAROWSKIEGO  
DO BOHDANA CHMIELNICKIEGO.  
DRAMAT RÓDZINNY.  
PIOTR WĘŻYK WIDAWSKI.  
SYLWETKI LITERACKIE Z NIEDAWNEJ  
PRZESZŁOŚCI.

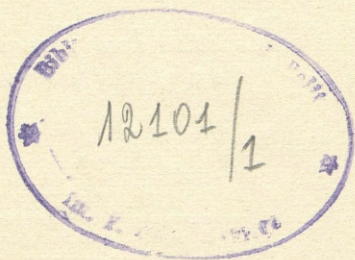
WYDANIE DRUGIE POPRAWIONE.

KRAKÓW.

G. GEBETHNER I SPÓŁKA.

1894.

93/438/ : 884



**POSELSTWO JAKOBA ŚMIAROWSKIEGO  
DO BOHDANA CHMIELNICKIEGO**

pod oblężony Zamość, w r. 1648.

---

(Ze źródeł rękopiśmiennych).

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PHYSICS DEPARTMENT

PHYSICS 351

LECTURE 1

1954



## I.

**W**śród krwawej tragedyi dziejowej z drugiej połowy XVII. w. noszącej miano rokoshu kozaczyzny, wśród owych scen podnieconych namiętności politycznych i plemiennych przeciw całości społecznego bytu dawnej Rzplitej, wśród klęsk fizycznych i moralnych, poniesionych przez siłę jej orężną, rozbitą i rozproszoną przez Kozaków i Tatarów w długim szeregu bitew, poczynając od krwawej rozprawy pod Żół-

temi Wodami aż do szturmów Lwowa; gdy zdawało się już, że osierocona przez zgon Władysława IV Rzplita, jak okręt pozabawiony sternika, musi beznadziejnie zatonać; jest jedna, niezaprzeczona dramatyczności scena, gdy zwycięzki wódz Kozaków, Bohdan Chmielnicki, ośmielony szeregiem odniesionych nad wojskami Rzplitej tryumfów i ujęciem w niewolę jej Regimentarzy, nagle wstrzymuje swój pochód zwycięzki do stolicy kraju i, na pierwsze słowo upamiętania, wyrzeczone doń przez Jana Kazimierza, wydaje niezadowolonym swoim zastępom rozkaz do odwrotu, i w spokoju na Ukrainę powraca.

\* \* \*

Do tej pory jeszcze główny motyw owej zagadkowej w Bohdanie Chmielnickim zmiany frontu wyświetlonym nie został, a choćby

przyjąć, zgodnie z ustalonym w tej mierze poglądem, że oczekiwany rezultat konwo-kacyi warszawskiej, w duchu pragnień Chmielnickiego, stanowić mógł dlań dostateczny powód do chwilowego wstrzymania dalszej akcyi buntowniczej, niemniej jednak ważnemi dla historyi są wszelkie szczegóły pierwszych rokowań z Chmielnickim, właśnie w chwili, gdy upojony dotychczasowymi zwycięztwami, usiłuje pokonać ostatnią przeszkodę — twierdzę Zamość, by w stolicy kraju narzucić zwyciężonym upokarzające warunki pokoju.

Wszyscy prawie dziejopisowie ówczesnej epoki przyjmują za fakt niesporny, że pierwsze słowo pojednania wyrzeczonem zostało do Chmielnickiego przez Jana Kazimierza, już po dokonanej elekcyi, w charakterze króla pol-

skiego<sup>1)</sup>), i że spełnienie tej misji powierzono, według jednych, dwom wysłańcom królewskim: Jakóbowi Śmiarowskiemu i Stanisławowi Ołdakowskiemu; według innych, misji tej miał dokonać jeden tylko sekretarz królewski, Jakób Śmiarowski, którego nazwisko rozmaicie w różnych źródłach się przedstawia.

---

<sup>1)</sup> Kochowski: *Ann. Pol. ab. obitu Vlad. IV. Climacter primus 1683*, str. 92. Anonym: *Hist. Jana Kazim.* (Kochowskiego) 1859 T. I. str. 31 wyd. Raczyńskiego. Wojcicki: *Pamiętniki do panow. Zyg. III., Wład. IV. i Jana Kazim.* T. II. str. 40. Rudawski: *Hist. Polsk.* przekład Spasowicza T. I. str. 44. *Lietopis Samowidca* o wojnach Chmielnickiego. *Cztienia* w Imp. Obszcz. Istorii. 1846. T. I. Z nowszych: Kostomarow w *Bohd. Chmielnickim.* Petersburg 1889. T. II. 49. Szujski, *Dzieje* T. III. 323. Moraczewski: *Dzieje Rzeczypospolitej* T. VIII. 48. *Pamiętniki o wojnach kozackich za Chmielnickiego*, (z rękopisu), Wrocław 1842, str. 27.

Według wypisów Augusta Bielowskiego, zużytkowanych przez Szajnochę w *Dwóch latach Dziejów naszych*<sup>1)</sup> mianowanym jest ów wysłaniec Świachowskim<sup>2)</sup>, następnie zaś Śmiarawskim. X. Sadok Barącz w *Pamiętniku Dziejów polskich*<sup>3)</sup> podaje nazwisko Sieweskiego, Moraczewski zaś w *Dziejach*<sup>4)</sup> nazywa owego wysłańca Rafałem Śmiarowskim. Przeważa jednak u większości dziejopisów nazwa Jakóba Śmiarowskiego i ta ostatnia jest niewątpliwą.

Jak pod względem brzmienia nazwiska posła tak i pod względem czasu spełnienia przezeń misji poselskiej panuje w źródłach nierozwikłany zamęt.

---

1) Dzieła, T. X., str. 230.

2) Ibid. T. X., str. 231.

3) Lwów, 1855, str. 49.

4) T. VIII. str. 48.

W wydaniu anonimowym *Klimakterów* Kochowskiego <sup>1)</sup> podano, że Śmiarowski wyjechał z Warszawy 27 września 1648 r., a przybył do Zamościa, z zawiadomieniem o elekcji Jana Kazimierza, d. 1 października 1648 r. *Klimakter* łaciński Kochowskiego wskazuje datę inną: mianowicie, wyjazd z Warszawy na 27 listopada, (a więc już po elekcji odbytej 20 listopada 1648), przyjazd do Zamościa na początek grudnia 1648 r. <sup>2)</sup>; w *Pamiętnikach* Wojcickiego, (będących co do roku 1648 kopią *Klimakteru* I-go) datą wyjazdu Śmiarowskiego z Warszawy jest 27 listopada 1648, a datą przyjazdu jego do Zamościa

---

<sup>1)</sup> Poznań, 1859, T. I. 31.

<sup>2)</sup> Varsavia dimissus, die 27 Novbris, ad Zamoscium sub initium Decembris venit str. 92.

1 grudnia 1648<sup>1)</sup>. Szujski, w *Dziejach*, zaznacza datę spełnienia misyi Śmiarowskiego jako późniejszą od otrzymania przez Jana Kazimierza listu Chmielnickiego, przywiezionego przez X. Mokrskiego w dniu 23 listopada 1648 r. do Warszawy<sup>2)</sup>.

Jeden tylko Szajnocha, w *Dwóch latach*, (*Dzieła* T. X. str. 170) posiłkując się wskazówkami *Pamiętników* ks. Albrychta Radziwiłła<sup>3)</sup> i *Księgi pamiętniczej Michałowskiego*<sup>4)</sup>, jest na tropie faktu rzeczywistego, twierdząc, że przed rezultatem elekcyi, Jan Kazimierz, jeszcze jako król polski, lecz już jako król szwedzki, pisał do Chmielnickiego, Zamość

---

<sup>1)</sup> T. II. str. 40.

<sup>2)</sup> T. III. str. 323.

<sup>3)</sup> T. II. str. 350.

<sup>4)</sup> Str. 241 i 359.

oblegającego, list, ze słowami upamiętania <sup>1)</sup>). Nie będąc wszakże o rzeczywistości owego faktu przeświadczonym, wyraża się Szajnocha w dopisku w formie hypotetycznej, iż „zdaje się“ jakoby list Chmielnickiego był odpowiedzią na list królewicza Kazimierza i że Radziwiłł „prawdopodobnie“ o tym ostatnim liście wzmiankuje w dyaryuszu sejmu elekcyjnego pod dniem 23 listopada. W tekście wszelako swego opowiadania, Szajnocha, już bez wszelkich zastrzeżeń wysyła obu posłów, Stanisława Ołdakowskiego i Śmiarowskiego z zawiadomieniem króla, o objęciu tronu Rzeczypospolitej polskiej.

Z przytoczonych powyżej wersyj okazuje się, że wątpliwość co do daty nawią-

---

<sup>1)</sup> *Dziela*, X. 170.

zania pierwotnych rokowań z Chmielnickim w epoce ostatecznych elekcyjnych działań z r. 1648 i co do osobistości posłów, którym owę ważną powierzono misją, nie jest jak dotychczas usuniętą.

Nie bez rzeczywistej przeto dla historii wagi będzie notatka, usiłująca, na podstawie niespożytkowanych dotychczas źródeł rękopiśmiennych, wyświecić ten właśnie epizod z buntu kozaczyzny, który, w szeregu klęsk na zagładę Rzplitej sprzysiężonych, stanowił niejako przełom i posłużył do pierwszego nawiązania stosunków, z krwawym tych nieszczęść czynnikiem — Bohdanem Chmielnickim.



## II.

W Bibliotekach warszawskich: Uniwersyteckiej i hr. Ordynatów Krasieńskich znajdują się w dziale rękopisów dwa uzupełniające się wzajemnie i poruszoną wyżej sprawę wyjaśniające dokumenta. W bibliotece Uniwersyteckiej, pod sygn. 3. 7. 10. przechowuje się kodeks papierowy, niewątpliwie z wieku XVII. pochodzący, z kilkudziesięciu kart formatu ćwiartkowego złożony, pisany rozmaitym charakterem, przez kilku prawdopodobnie kopistów, zatytułowany ogólną nazwą: *Kilka doku-*

mentów publicznych z epoki 1629—1649 r. a w nim, na str. 81 i następnych, znajduje się dokument, opatrzony tytułem: *Relacya P. Śmiarowskiego, Pośta K. J. M. do Chmielnickiego.*

W bibliotece zaś hr. Ordyn. Krasin-  
skich, między rękopisami po Konstantym  
Świdzińskim, znajduje się księga *in folio*,  
oprawna, nr. 452 oznaczona, znana pod  
nazwą „rękopisu od J. I. Kraszewskiego  
nabytego“, a w niej, na str. 252, zamie-  
szonym jest dokument, pod napisem:  
*Przyjęcie gońca Króla JMci u Chmielni-  
ckiego, pod Zamościem*, ogłoszony wprawdzie  
w części drukiem przed kilkadziesiąt laty <sup>1)</sup>  
lecz dotąd w literaturze naszej historycznej  
nie uwzględniony.

---

<sup>1)</sup> *Oređownik naukowy* z r. 1841. str. 161.

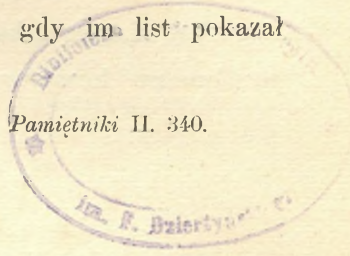
Ten ostatni dokument jest w związku z relacją współczesną o poselstwie Śmiarowskiego, na str. 452 tegoż samego manuskrytu spisana, powtarzająca szczegóły sprawozdania samego Śmiarowskiego, wydłużonego w rękopisie biblioteki uniwersyteckiej.

We wszystkich tych dokumentach Śmiarowski tytułowanym jest jako poseł Króla Jegomości, choć z treści ich wynika, że kozacy, po odczytaniu listu Jana Kazimierza „bacząc pieczęć królestwa szwedzkiego y podpis nie króla polskiego mówili: że ten poseł na zdradę do nas przyszedł“, co naprowadza na domysł, że istotnie Śmiarowski nie był posłem Jana Kazimierza, jako króla polskiego, lecz jedynie posłem królewicza polskiego, a króla szwedzkiego,

w epoce, gdy nie było już wątpliwości, że rezultat elekcji wypadnie na korzyść jednego z braci zmarłego króla Władysława IV. a niewątpliwie, (w obec zrzeczenia się prentensyj do tronu Rzplitej ze strony królewicza Karola Ferdynanda, w kościele farnym, jakie nastąpiło już d. 11 listopada 1648<sup>1)</sup>) na korzyść Jana Kazimierza. W każdym razie, w chwili, gdy Śmiarowski wyruszał pod Zamość do Chmielnickiego, rezultat elekcji ani jeszcze znanym, ani ogłoszonym nie był. Niewątpliwym, a bliski już w owym czasie, rezultat elekcji, stał się powodem, że Śmiarowski, w obec kozactwa, przedstawił się jako poseł nowo obranego króla Jana Kazimierza, „a gdy im list pokazał

---

<sup>1)</sup> Albr. Radziwiłł. *Pamiętniki* II. 340.



(słowa rękopisu bibl. Ordyn. Krasieńskich str. 243) rzucili się do pieczęci y rzekli zaraz, że nie od króla to list, bo pieczęcią z kapeluszem kardynalskim zapieczętowano było, y króla nie masz“. Na co Śmiarowski, tłumacząc się przed kozakami, odważnie bronił się, „że to nie może być, aby skoro króla obiorą, zaraz y pieczęć miano robić“.

W świetle źródeł współczesnych ów fakt charakterystyczny przedstawia się jak następuje:

Blisko na miesiąc przed zrzeczeniem się ze strony Karola Ferdynanda pretensyj do tronu Rzplitej, na posiedzeniu senatu, odbytem w Warszawie, dnia 13 października 1648 r. generał wielkopolski, Bogusław Leszczyński, podał sposób *ad pacificandum* kozactwa, mianowicie, aby

królewicze napisali w swoim imieniu do Chmielnickiego.

Jakoż, w parę dni później<sup>1)</sup> po owym fakcie, lecz jeszcze przed ogłoszeniem rezultatu elekcyi, królewicz Jan Kazimierz, którego Chmielnicki, jak wiadomo, życzył sobie widzieć na tronie, wysłał od siebie Śmiarowskiego, z poselstwem do wodza kozaków, o czem *Księga pamiętnicza* Michałowskiego<sup>2)</sup> wyraża się jak następuje:

„P. Śmiarowski już to ósmy dzień jak posłany od Króla JMci do Chmielnickiego“.

Tymczasem i w obozie Kozaków pod Zamościem przemyśliwano nad układami. Oblężenie twierdzy bronionej przez pułki

---

<sup>1)</sup> J. Michałowski, Ks. pamiętn. 291.

<sup>2)</sup> Str. 354 pod datą 22 listopada 1648, z czego wynika, że notatka Michałowskiego uczyniona we dwa dni po elekcyi, odnosi się do 15 listopada 1648 r.

dzielnego Wejhera nie zapowiadało w nie-dalekim czasie pomyślnego skutku. Zimno i głód dokuczały oblegającym. Kule rzu-cane z wałów Zamościa dotkliwie szkody zrzędały kozakom. Już dnia 15 listopada, a zatem prawie jednocześnie z wyjazdem Śmiarowskiego z Warszawy, wyjechał z Ła-buniek, głównej kwatery Chmielnickiego pod Zamościem, ksiądz Jezuita, Hunzel Mokrski, dawny nauczyciel i faworyt Chmielnickiego, z poselstwem do króla szwedzkiego i z wyraże-niem gotowości służenia mu orężem przy wy-borze <sup>1)</sup>: oraz do senatu, z prośbą o pokój <sup>2)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Błądną przeto jest wersja Szujskiego (*Dzieje* III. 323), jakoby Mokrski otrzymał pole-cenie oddania listu już obranemu królowi pol-skiemu. *Conf. Ks. Pamiętn.* str. 359. „Oddał (Mokrski) list od Chmielnickiego Królowi JMci z tytułem do Króla Szwedzkiego“.

<sup>2)</sup> *Ks. Pamiętn.* str. 213.

Zanim przejdziemy do przedstawienia rezultatów obu tych krzyżujących się w drodze poselstw, podajmy w kilku słowach antecedencye odnoszące się do osoby posła Śmiarowskiego, o których, dopiero z relacji rękopiśmiennej biblioteki uniwersyteckiej, po raz pierwszy otrzymujemy wiadomość.

Jakób Śmiarowski znanym jest ze źródeł jako „szlachcie rusin“ (*nobilis Roxolanus*). Bliższych szczegółów dotyczących jego osoby dotąd nie posiadaliśmy. Obecnie wiemy, że zamieszkiwał w miasteczku Połonnem, na Wołyniu, i że, podczas napadu czerni kozaków w r. 1648 na zamek tameczny, gdy po wycięciu całej załogi pułkownik Krzywonos sprawił między mieszkańcami rzeź straszliwą, ofiarą stała się i rodzina Śmiarowskiego, żona i dziatki zamordowane, ośmioletni synek zaprzędanym został ordzie

tatarskiej, a chudoba, wartości około czterdziestu tysięcy złotych, złupiona. Jakób Śmiarowski przed buntem kozaków utrzymywał jako sąsiad stosunki zażyłości z Chmielnickim, i to właśnie stało się przyczyną, że gdy wraz z inną szlachtą okoliczną, uciekając przed następującym kozactwem, oparł się o Warszawę i pospieszył z uzaleniem się na doznaną krzywdę na konwokację, królewicz Jan Kazimierz wybrał go jako umyślnego z poselstwem do Chmielnickiego.

Treści listu królewicza nie znamy. Żadne źródło jej nie podaje. Wiadomo tylko z *Pamiętników Radziwiłła* (II. 350), że w liście tym była wyrażona prośba do woźdza kozaków, o dobrowolne odstąpienie od Zamościa.

„Z łaską i pokojem przyjechałem tu“ —

wyraża się sprawozdawca w rękopisie Świ-  
dzińskiego, mówiąc jakoby słowami Śmia-  
rowskiego. — „Chce Król Jegomość, jako  
Pan dobrotliwy, nie tylko wam przestępstwa  
wasze poniewolne odpuścić, ale y to, o co  
będziecie słusznie prosili, uczyni dla was“.

Po takim wyjaśnieniu przejdźmy obe-  
cnie do osnowy relacyi Śmiarowskiego, we-  
dług odnalezionnej kopii rękopisu Biblioteki  
Uniwersyteckiej, ze zmianą jedynie niektó-  
rych wyrażzeń, w duchu nowoczesnej pisowni.



### III.

„Dnia 15 Novembra wyjechałem z Warszawy. Był to dzień niedzielny. Stanałem przed taborem kozackim przed Zamościem we czwartek, a widziałem Chmielnickiego w piątek, *in solenni forma*. Wysłał 6 tysięcy komunika przeciwko mnie i ci mnie mimo mury Zamojskie prowadzili aż do Łabuniek<sup>1)</sup>, mila od Zamościa, gdzie sam

---

<sup>1)</sup> Łabuńki, wieś i folwark w pow. zamojskim, nad rzeką Łabuńką, przy drodze bitej od Zamościa do granicy austriackiej. *Słownik geogr.* V. 564. Opis Łabuniek w *Tyg. ilustr.* z 1881 r.

Hetman z armatą stał. Nim ten pułk ogar-  
nął, z konwojem moim, którego było z lu-  
dźmi X. Koreckiego <sup>1)</sup> pod sto koni, wszy-  
stka starszyzna wyjechała i w osobnym  
pułku stanęli. Z konia zsiadłszy, pieszo  
witali mię siedzącego na koniu, a w tym  
w ów pułk wielki zamknęli mię i w pierw-  
szym szeregu miejsce dawszy, z trąbami,  
bębnami i z surmarzami prowadzili mię do  
pomienionych Łabuniek.

„Przed Łabuńkami wyjechał oboźny  
Czarnota <sup>2)</sup> z kilkunastą kozaków, na pię-

---

<sup>1)</sup> Mowa tu o księciu Samuela Koreckim,  
który, gdy go własni poddani w zamku koreckim  
oblegli byli, jedynie dzięki chorągwi, którą wła-  
snym kosztem utrzymywał, wydostał się na wol-  
ność. Kochowski, *Hist. Jana Kaz.* (I. 45). Był  
i drugi Korecki, Karol, również właściciel dywi-  
zyi (str. 49).

<sup>2)</sup> Dowódzca pułku bunt. kozaków.

knie przybranych i nadobnych koniach, omawiając Hetmana, że dla słabości zdrowia sam wyjechać nie mógł, ale w osobie swej, (rzekł), mnie wysyła, witając Waszmość Mego Miłościwego Pana i sam z ochotą wielką czeka.

„Gdym na dwór Łabuński przyjechał, wyszedł sam Hetman w pół dworu. Ja też, z konia zsiadłszy, powitałem go. Prowadził mnie do swej izby i z dział, na znak radości, słysząc o nowym Panu, kazał wypalić. Tego dnia wieczór nastąpił; na dzień jutrzejszy odłożyłem funkcją moją, a tymczasem rekognoskowałem tak samego Hetmana, jako i inszych znajomych kozaków, *faciem*, *status eorum* i coby mi pomocno, coby mi też szkodzić mogło; a zrozumiawszy, że Krzywonos z Głowackim na tym byli, aby z tych krajów nie ustępować, ale tę wojnę

abo swą fortuną, jako się im powiodło, abo traktatami kończyć: bardzo mię to zafrasowało, i chcąc temu zabieżeć, powadziłem ich w ten sposób:

„W sekrecie mówiąc z Chmielnickim powiedziałem:

„Masz w wojsku swoim wielkiego nieprzyjaciela, który cię i z sławy twej wyzuć i w regimencie podejść i na zdrowie twoje nastąpić usiłuje. Mam pewną wiadomość tego — z kilku confessat więźniów z wojska zaporowskiego (*res ficta*), którzy na torturach o tym dostatecznie powiedzieli. Chcę cię tedy uprzędzić, chcesz li sam przy zdrowiu i sławie twej zostawać. Druga, proszę, jako dawnego przyjaciela i zachowanego ze mną sąsiada, aby ten Krzywonos nie był przy audyencyi mojej, bo żal mój nieutulony, gdyż mię ten zdrajca

w Połonnym zdarł z ubóstwa mego i na czterdzieści tysięcy chudoby mojej pobrał, a co większa, małżonkę moją i dziatki pozabijał, syna mi ośmioletniego Ordzie sprzedał, a nie dopuszczaj mi nań patrzeć i bym tu na sztuki miał być rozsiekany, szablę moją w nim utopię!“.

„Wdzięcznie tę mowę moją Chmielnicki przyjął i poprzysięgając obiecał go nie żywić i do rady nie kazał mu chodzić.

„Jakoż, dnia sobotniego, miałem audyencyę według informacyi mnie poruczonej, po której odpowiedział mi Chmielnicki:

„Jako przodkowie moi, życzliwie i krwawie, oddawali usługi Królom Polskim, tak i ja, nie odradzając się od nich, z tym rycerstwem przy boku moim będącym, chcę wiernie Królowi Jegomości Panu Memu Miłościwemu i Rzplitej służyć i na rozkazanie

Jego Królewskiej Mości zaraz wojsku ku Ukrainie wracać“.

„Przytym i prędką odprawę mi przyobiecował.

„W godzin kilka insza trudność na tę moją usługę nastąpiła. Poczęli się niektórzy z pułkowników i z tej starszizny, którzy przy audyencyi nie byli, do czego się i czerni siła kupiło, buntować i prosili hetmana o communicatią poselstwa i o list królewski, który przeczytawszy, każde słowo rozstrząsali i bacząc pieczęć królestwa szwedzkiego i podpis nie króla polskiego, *invalescebat fremitus eorum* i mówili, że ten poseł na zdradę do nas przyszedł; znać, że wojska na nas następują, zatrzymać go do dalszej wiadomości, albo do Trechtimirowa odesłać go.

„Miałem w tej radzie podsłucha mego,

który, gdy mi o wszystkim dał znać, bardzo się zafrasował, atoli poradziwszy się sam z osobna, poszedłem bezpiecznie w radę ich i tę ich wątpliwość, jaką mi *occurrebant, rationibus* uśmierzałem, pod przysięgą twierdząc, że comkolwiek w pośrodek Was przywiózł, to wszystko z woli Jego Królewskiej Mości, Pana mego miłościwego.

„Wsparł mię i sam Hetman, któremu one pisanie, wzięwszy z ręki ich, oddałem, to rzekłszy: Że ten jest zwyczaj Królów i Monarchów świata, nie pisania przestrzegać, które nie inszego, tylko sam *credens* jest, ale ustna mowa posła każdego, jest rzecz sama.

„Za łaską tedy Bożą i ta trudność uprzątnęła się i stanęła pomyslna odprawy mojej aprobata.

„Zatym obiad kozackim obyczajem sześć

potraw dano i wina dobrego. Którąkolwiek Hetman za zdrowie Jego Królewskiej Mości pił, zawsze z dział wszystkich ogromnie bito, a zatym, to, co obiecał, *ipso affectu* wykonywał.

„Ruszyła się wprzód armata z pułkiem swym, w którym dwadzieścia tysięcy być mogło.

„Trzeciego i czwartego dnia ruszały się różne pułki od murów Zamojskich, które *circumcirca* taborem opasane były, i staw za przekopaniem grobli spuszczone; przedmieście wszystkie i dwory popalone. *Interea* jużem z taborem wyjechał. Wkrótce wypisawszy *succesum* tej usługi mojej, do Dworu przed sobą wyprawilem sługę J. M. X. Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, ale tego posłańca, choć miał i paszport Chmielnickiego, w pięciu milach od taboru ścięto.

**Biblioteka powszechna**

przy Sojniku

WZJENICACH

„Przeto ta nierychło wiadomość przyszła.

„Wziąwszy odprawę odjechałem do Zamościa i tam przenocowałem, gdzie *summa miseria* była, ludzie pochorzeli, umierali, niedostatek piwa, chleba i inszych żywności, konie i dobytek dla niedostatku pozdychało, pełne ich ulice, zaczyna smród wielki i lubo się przed wyjazdem moim kupili, ledwieby byli tę *obsidionem* dalej znosić mogli.

„Wyjechałem z Zamościa 24 Novembra. Jużem miał bezpieczniejszą drogę, acz trzeba było być w ostrożności.

„Tum jadąc, wielkiej-em trudności, potykając się z różnymi zagonami, tak kozackimi, jako i tatarskimi, zażył. Były mi na przeszkodzie podjazdy nasze, które tymi czasy postępowały pod wojsko nieprzyjacielskie, kiedym i ja do nich jechał, i, że Chmiel-

nickiego, niewyrozumiane było. Atoli powiedział: ku Kamieńcowi Podolskiemu pójdę, żebym tam hordeę przez Dniestr przełożył. Brodów, których się zamek, dla schorzałych *praesidiarios*, poddał, nie miał minąć.

„Kodak się także poddał.

„Tak naprędce piszę“.

---

W uzupełnieniu powyższej relacyi osobistej Śmiarowskiego przytaczamy ustęp z rękopisu Świdzińskiego, (str. 251) <sup>1)</sup> widocznie, według opowiadania posła, przez nieznanego sprawozdawcę zredagowany, mieszczący w sobie malownicze szczegóły o pierwszym spotkaniu się posła z Chmielnickim.

„Gdy goniec Króla JMci, pan Śmiaro-

---

<sup>1)</sup> Zob. też *Orędownik naukowy* 1841 str. 161.

wski, przejeżdżał do Chmielnickiego pod Zamościem będącego, wysłał przeciwko gońcowi sześćset wojska żołnierza na dobrych koniach, strojno, którzy, potkawszy gońca, prowadzili go. Gdy przejeżdżali pod ten dwór, gdzie Chmielnicki stał, pułki, których nieprzejrzana rzesza była, wypuściły ręczną strzelbę, aż zagrzmiało. Przed samym dworem, oboźny Chmielnickiego, na imię Ostap, z ośmiuset osób wyjechał, który wprowadził gońca naszego do izby, gdzie Chmielnicki czekał.

„Był w żupanie szkarłatnym, srebrne petlice, fijałkowa półgranatowa ferezya, przedniemi sobolami podszyta, buława przed nim leżała na stole.

„Gdy goniec wszedł, zrzucił ją ze stołu na ziemię sam Chmielnicki.

„Przy oddaniu listu K. J. M., gdy goniec

nasz, włożywszy czapkę, począł odprawować poselstwo, starszyzna, co się mogła zmieścić do izby z Chmielnickim, zdjawszy czapki, słuchali, a kiedy wraz wspomniano K. J. M., czołem bili wszyscy. Gdy zaś Chmielnicki począł odpowiadać, naprzód winszując królestwu Króla Jegomości, zaraz gęstą strzelbę wypuszczono, która przez pół godziny trwała.

„Gdy strzelać przestano, rzecz swą prowadząc, to deklarował, że gdyby królewicz Kazimierz królem nie był, którego on chce być sługą, y krew swą, za dostojenstwo onego wylać, tedy szedłby był prosto ku Krakowowi, i, wzięwszy koronę, temuby ją dał, komuby rozumiał. Teraz poddaństwo wyznawając, we wszystkim ucicha, y powracając do Zaporoh, na komissarze spokojen chce czekać, a idąc do Zaporoh — żadnych zbrodni nie czynić.

„Jakoż zaraz poczęli się rumować, a mianowicie, poselstwo było w szrodę, t. j. 18 *Nbris*, a w sobotę, który był dzień 21 *Nbris*, wysłał armatę z pod Zamościa do Zaporoh, ze dwudziestą tysięcy wojska. Nazajutrz, w niedzielę, Tatary, których wodzem Tokajbey, a nie było ich nad pięć tysięcy, odprawił do Ordy. W niedzielę wozy swoje y wszystkie rzeczy wydał. We wtorek, t. j. 24 *Nbris*, odprawiwszy gońca naszego, sam się ruszył do Zamoyścia, mając z sobą więcej, niż dwakroć sto tysięcy wojska. Pilno się jednak domawia, że lubo teraz odstępuje, jednak tej wojny nie przestanie, aż mu się sprawiedliwość o Koniecpolskiego i Xcia Wiśniowieckiego stanie“.

---



#### IV.

Rozpatrzmy się obecnie w innych dokumentach źródłowych z owej epoki, dla stwierdzenia, niewątpliwego już, tym razem, faktu, że z pierwszym poselstwem do Chmielnickiego, przed ogłoszeniem rezultatu elekcji, pojechał był Jakób Śmiarowski.

Na posiedzeniu senatu, odbytem w dniu 23 listopada 1658 r., brat wojewody braclawskiego, Adama Kisiela, chorąży nowogrodzki, Grzegorz, zabiera głos, dla wykazania obradującym niebezpieczeństwa, jakie, dla kraju, zbyt nie zaufanie dla wyrozumia-

łości hetmana kozaków, z powodu poselstwa Śmiarowskiego, może za sobą pociągnąć.

„Podobno się Waszmość Panowie — mówił chorąży — sadzicie na poselstwie Pana Śmiarowskiego do Chmiela: dla tego W. MMć. tak źle do obrony przystępujecie i o tem nie myślicie, gdzieby my wyгнаńcy mogli *figere pedem* 1)“.

Jednocześnie z wyjazdem Śmiarowskiego z Łabuniek, t. j. 24 listopada 1648 roku, tegoż dnia, wysłaniec hetmana, X. Huncel Mokrski, wręczył królowi Janowi Kazimierzowi, z tytułem do króla szwedzkiego, list, z wyrażoną w nim gotowością służenia orężem przeciw wszystkim, którzyby go od przyjęcia korony odstręczać chcieli 2).

---

1) *Ks. pamiętn.* str. 358.

2) *Ibid.* str. 359.

We trzy dni później, mianowicie dnia 27 listopada 1648, Jan Kazimierz, tym razem już w charakterze obranego króla polskiego, wysłała do hetmana Chmielnickiego list, w którym wyraźnie między innymi nadmienia:

„Jakośmy tedy już przez pisanie nasze, przed szczęśliwą elekcyą naszą wysłane, afekt nasz wojsku zaporowskiemu i wodzowi wojska tego oświadczyli, nagradzając życzliwe chęci wasze, iż pomnąc na dobrodziejstwa najjaśniejszych królów J. M. Pana ojca i brata naszego, Pana Boga prosiliście i życzyli tego, aby nie kto inszy, ale my, z tejże krwi królewskiej idący, na to królestwo obrani byli, tak i teraz, już zostawszy królem i panem waszym, ku większej pociesze waszej, o tym, boskiego majestatu zrządzeniu,

oznajmujemy i łaskę naszą królewską wodzowi i wszystkiemu wojsku naszemu zaporowskiemu opowiadamy“.

W końcu swego listu dodaje król:

„Z tą łaski naszej królewskiej deklaracją, urodzonego Stanisława Chołdakowskiego wysyłamy i jako najprędzej z nim wespół posłów waszych do nas bytności oczekiwamy <sup>1)</sup>“.

Zanim z listem powyższym Chołdakowski przybył do Chmielnickiego, przyjechał był tymczasem z odpowiedzią hetmana do króla na pierwsze posłanie, Jakób Śmiarowski, i temu, dnia 1 grudnia 1648 r., król wręczył nowe do Chmielnickiego pismo, w którym wzmiankując o wysłaniu posła Chołdakowskiego, zapowiada, że wkrótce bu-

---

<sup>1)</sup> Z rękop. bibl. Ossol. nr. 225 str. 193. Szajnocha: X. 227, 228. Conf. Radziwiłł, Pam. II. 351.

ławę i chorągiew wodzowi kozaków przesłać<sup>1)</sup>).

4 grudnia 1648 r. przybywa Śmiarowski z powtórnyem poselstwem do Chmielnickiego, o czem wzmiankują wypisy Bielowskiego na str. 43<sup>2)</sup>.

Tym razem poselstwo Śmiarowskiego trwało czas dłuższy, gdyż dopiero po powtórnyim jego powrocie do Warszawy, król Jan Kazimierz, w dniu 21 grudnia 1648 r., przesyła Chmielnickiemu szczegółową odpowiedź na punkta ugody z kozakami i pisze:

„Gdy już księdza Mokrskiego odprawić kazaliśmy z responsem Majestatu naszego na pisanie Wasze, powrócił poseł nasz,

---

<sup>1)</sup> Szajnocha: X. str. 229. Z rękopisu Ossol. nr. 225, 192.

<sup>2)</sup> Szajnocha: X. 231.

urodzony Śmiarowski, który nam drugie pisanie od Was oddał, ustną sprawę oraz <sup>1)</sup>“.

Z dyaryusza drugiej księgi pamiętniczej Michałowskiego, dotychczas jeszcze w rękopisie będącej, Helcel zamieścił w wydaniu swem ustęp, będący niejako wariantem znanej relacji podkomorzego lwowskiego, Miaskowskiego, drukowanej w *Zbiorze pamiętników* Niemcewicza (T. IV. str. 252) i w *Źródłach* Malinowskiego i Przeddzieckiego (T. I. str. 19). Z ustępu tego dowiadujemy się, że w d. 12 stycznia 1649 r. chorąży nowogrodzki, Kisiel, wraz z panem Śmiarowskim, wyprawieni zostali z Gwozdowy do Chmielnickiego, z perswazyą, aby do Kijowa na komisją zjechał (Ibid. 370).

---

<sup>1)</sup> *Ks. pamiętn.* str. 217, 218.

Przebieg owych rokowań, nad wyraz przygnębiający, znanym już jest ogólnie.

Sekretarzem komisji ugodowej został Śmiarowski, i jego to, z tytułu dawnej znajomości z Chmielnickim, używano do układów z przewrotnym hetmanem, z niepomyślnym wszelako skutkiem<sup>1)</sup>.

W trakcie owych układów, wojewoda kijowski, Kisiel, mianował Śmiarowskiego stałym swoim rezydentem przy Chmielnickim i w tym też charakterze przebywał Śmiarowski w Czelhrynie.

Lecz kozacy, mając Śmiarowskiego w podejrzaniu, że się tajemnymi listy znośi z wo-

---

<sup>1)</sup> Multis persuasionibus et rationibus przez Pana Podezaszego Braclawskiego i Pana Śmiarowskiego, Sekretarza Komissyi, laboravimus: ale duram petram et obstinatum cervicem oporu ruszyć żadnym sposobem nie mogli. *Ks. pamiętn.* 381.

jewodą, aresztowali najprzód posła<sup>1)</sup>, a następnie siekierą zamordowali wraz z całą służbą poselską<sup>2)</sup>. Według innych wersji, Śmiarowski przez kozaków utopionym został<sup>3)</sup>.

Takim był smutny koniec człowieka, który utraciłszy podczas rzezi w Połonnem rodzinę i dobytek, resztę dni swoich poświęcił Rzplitej i sam padł owych usług ofiarą.

---

<sup>1)</sup> *Ks. pamiętn.* 394, 396.


<sup>2)</sup> *Latopisiec Jerlicza* T. I. str. 98.: *Quem regis legatum contra ius gentium non gladio ut militem, non securi ut victimam, sed runcina ut arborem percutiunt.* Rudawski: *Hist.* 44.

<sup>3)</sup> *Pamięt. Kiews. Komm.* 413—429. Kostomarow: *Bogd. Chmieln.* II. 89.

DRAMAT RODZINNY.

FOR SALE BY ROBERT



 jednym z cichych zaścianków lubelskiego powiatu, rozegrał się pod koniec zeszłego wieku, dramat dwojga serc kochających, o których nam pozostałe kartki ocalałego z powodzi lat dokumentu<sup>1)</sup>, w wyrazach pełnych prostoty a rzewności, następującą podają opowieść:

---

<sup>1)</sup> Actum in Castro Lublinensi, Feria Sexta ante Festum Sanctissimae et individuae Trinitatis proxima, idest, die vigesima octava, mensis Mai, Anno Domini 1779<sup>o</sup>.



## I.

### Posażna jedynaczka.

Wieś Wojciechów, w lubelskim położona powiecie, należała, w ostatnich latach XVIII wieku, do poważnego i poważanego w obywatelstwie miejscowem Tomasza Suchodolskiego, łowczego lubelskiego. Skoligacony z niemniej szanownym, a starodawnym rodem Trzecińskich, z którego to rodu „znacznie posażna panna wniosła fortunę w dom Suchodolskich“, dochował się łowczy lubelski w małżeństwie dorodnej jedynaczki,

Joanny. Zacność urodzenia, przymioty serca, wdziek niewieści łowczanki Suchodolskiej, a także i speranda weale przyzwoitego posagu, jaki od rodziców swych otrzymać miała, sprawiły, „że wielu zacnych z przymiotów, majątku i imienia kawalerów w dom pana łowczego Suchodolskiego, z przedsięwzięciem pozyskania sobie w dożywotnią przyjaźń panny Joanny, uczęszczało“.

W tymże samym powieście, we wsi Chmielniku, przemieszkiwała zacna rodzina Trzeińskich. Michał Trzeiński, stolnik urzędowski, i żona jego, Teodora z Dłużewskich, których Opatrzność obdarowała trójką dorosłych i dzielnych synów, w bliskich z domem pana łowczego Suchodolskiego pozostawali stosunkach, już to przez wzgląd na niezbyt odległe sąsiedztwo, już to przez

pamięć na zawiązaną w ubiegłych latach między obiema rodzinami koligację.

Mikołaj, Kajetan i Stanisław Trzecińcy, synowie pana stolnika, zażywali również niepośledniego w okolicy miru. Zerkały też na dorodnych młodzieńców okoliczne panny, dla których małżeństwo z jednym z trzech dzielnych stolnikowiczów, zapowiadało ziszczenie wszelkich rojeń domowego szczęścia; a nie ostatnią z pomiędzy owych aspirantek była łowczanka, Joanna Suchodolska, od dawna już żywą inklinację do stolnikowicza, Mikołaja Trzecińskiego, odczuwająca.

Nie dostrzegli prawdopodobnie państwo Suchodolsey co się święci, gdyż nietylko że nie bronili stolnikowiczom Trzecińskim, a zwłaszcza najstarszemu z pomiędzy nich, Mikołajowi, sposobności do częstego prze-

bywania w ich domu, ale nawet sam pan łowczy, pragnąc ustrzedz się od natrętnych wizyt innych kawalerów, sam odwiózł łowczankę Joasię do dworku państwa Trzeińskich, do Chmielnika, „z obowiązkiem, aby się w domu ich zabawiała“.

O ile pan łowczy Suchodolski, zamknięte mając oczy na następstwa, jakie pobyt dorodnej i posażnej łowczanki w gronie niemniej dorodnych i zacnych stolnikowiczów Trzeińskich, mógł dla błogosławieństwa obu rodzin sprowadzić, o tyle doświadczony pan stolnik urzędowski, mniejszem się w tej mierze kierował zaślepieniem.

„Upraszał tedy p. stolnik pana łowczego Suchodolskiego — brzmi manifest urzędowy, do ksiąg grodzkich lubelskich, w r. 1779 podany, z którego niniejszą czerpiemy opowieść — aby przez wzgląd na kilku bez-

żennych synów jego, przy nimże mieszkających, w inszym domu sąsiedzkim, lub własnym swoim, przebywanie i zabawianie się tejże córce swojej naznaczył, lecz łowczy Suchodolski, mówiąc do stolnika Trzecińskiego:

— Małżeństwo syna waćpana, z córką moją, nie byłoby nieprzyzwoite i nie byłoby od rzeczy, gdyby pan Trzeciński ożenił się z panną Suchodolską... — upraszał stolnika, aby w domu swoim, łowczance, córce jego, zabawiania się i przebywania nie odmówił.

„Bywało więc często, a zawsze kilko lub kilkonasto-tygodniowe, łowczanki Suchodolskiej, w domu stolnikowstwa Trzecińskich, przebywanie i zabawianie się, podczas którego, tak wszechmocne rządy, swemi niewidzialnemi, a skutecznemi natchnieniami,

tych dwóch pomienionych osób, zdania, wole, serca i przyjaźń zjednoczyły, że sobie skrycie, mimo wszelką stolnikowstwa Trzecińskich wiadomość, w czasie jeszcze jubileuszowego nabożeństwa, wzajemną poprzysięgli przyjaźń i tę, w głębokim milczeniu, między sobą taili“.



## II.

### Ś l u b y.

Na początku roku 1779, tajemnica zakochanej pary zdradzoną została przed stolnikowstwem przez samą łowczankę, która „wyjawiała im i opowiedziała wyraźnie, swoją, z Mikołajem Trzecińskim, ich synem, sprzysiężoną, dożywotnią przyjaźń i obowiązała ich nausilniejszymi prośbami, aby takowym sprzysiężonym ich intencyom nie przeczyć, ani wzbraniać, owszem, skutecznie dopomódz raczyli.

„Do uiszczenia i skutkowania takowych obowiązków, ile że przyjaźń sąsiedzką urazić mogących, wymawiali się jej stolnikowstwo, lecz łowczanka, łzami oblana, płaczliwym głosem mówić zaczęła:

— Szczyście i fortunę swoją, nie w dostatkach, ale w spokojnem pożyciu zakładam, przyrzeczenia mego nie odmienię, chyba przez śmierć moją okrutną!

„To wyrzekłszy, tem jeszcze troskliwszemi naleganiami usiłowała, aby indult pozyskać z samego Krakowa, objawiając, że w poblizszych: kieleckim i lubelskim, konsystorzach, już od lat dwóch, p. łowczy Suchodolski, ojciec jej, poczynił zbrojne uprzedzenia“.

„Któż mógł — nadmienienia w tem miejscu powołany manifest — i komu się godziło tak ścisłej i przysiężonej przyjaźni, umy-

ślone do wyjednania indultu środki wyśledzić? kto ich zatamować? kiedy i najwyższa dyecezyonalna pasterska władza, przeświadczoną będąc o ścisłej, sprzysiężonej tych dwóch osób przyjaźni, indult na danie im ślubu wydała“.

Pozyskawszy ów upragniony indult z Krakowa, uznała panna łowczanka za konieczne, wyznać przed rodzicami, „lubo delikatnemi, lecz już dosyć jawnemi terminami“, powziętą do Mikołaja Trzeńskiego miłość swoją i prosić ich o błogosławieństwo.

Nadarzyła się po temu sposobność, z okazji ślubu panny dworskiej łowczowstwa Suchodolskich, dla której to służebnej „w zamęcie iść mającej, sama łowczyzna strój do ślubu damski działała“.

Asystowała owej patryarchalnej uroczystości panna łowczanka, a gdy matka, stro-

jąc w wieniec ślubny oblubienicę, rzewnym głosem rzekła:

— Córko moja! Obym doczekała, abym ci rękoma memi koronę do ślubu uwiła!

— Nie będę podobno, najukochańsza matko dobrodziejko — wyszeptwała łowczanka — w tem szczęściu, aby ręce twoje tę dla mnie podejmowały pracę...

To mówiąc, upadła do nóg matce i płacząc, prosiła o błogosławieństwo macierzyste...

Nazajutrz, gdy nowożeńcy w dom łowczych Suchodolskich powrócili, i zwykle takowym uroczystościom odprawowały się tańce, upraszała kilkakrotnie łowczanka ojca swego, aby miała pozwolenie służyć mu w tańcu, i gdy to pozyskała, a w tańcu stawała, padła do nóg łowczego, mówiąc z płaczem:

— Mój natukochański, mości ojcze do-  
brodzieju, nie będę podobno uszczęśliwioną  
na mem weselu bytnością twoją; niech tę  
pociechę przynajmniej i korzyść tu dla  
mnie odbieram, że ci mam honor z pozwo-  
lenia twego służyć...

Na co łowczy uśmiechającem się milcze-  
niem zdawał się przyzwalać.

---



### III.

#### Ucieczka.

„Takowe łowczanka swe wyznania, oraz na to skinienia i wyrazy rodziców swoich, za zupełne ich dozwoleństwo sobie tłumacząc i poczytując, posłała natychmiast bilet swój, do pojazdu dla siebie upewnionego, aby po nią przyjeżdżał, zalecając wraz biletem swoim Mikołajowi Trzecińskiemu, przyszłemu małżonkowi swemu, aby czezym i przygotowanym był do rannej jutrzejszej spowiedzi i przyjęcia komunii świętej, ślub po-

przedzić powinnej. Sama podobnież w rozmyślnym i przynależnym, do przyjęcia Sakramentów świętych, przygotowaniu się, lubo kilka razy łowczemu, ojcu swemu, za rozkazem jego, w tańcu służyła, uwiadomiona o już przybyłym po siebie pojeździe, padła do nóg łowczym, rodzicom swoim, upraszając ich o błogosławieństwo, które pozyskawszy, wyszła z kompanii, z powodu swego ufatygowania, i poszła do swego osobnego pokoju. Tam znowu, powtórzywszy przygotowanie się do przyjęcia sakramentów świętych, gdy dzień poczęło, wsiadła w pojazd (przy którym więcej, prócz powożących ten pojazd i jednej osoby asystującej, nie było ludzi) i dniem jasnym przyjechała do wsi Wojciechowa, do kościoła własnego parafialnego, gdzie po przedstawionym jegomości księdzu plebanowi

tamecznemu indulgie, była o jej na ten stan małżeński dobrowolne zezwolenie, ściśle i dokładnie przez księdza jegomości badana, przez niego wyspowiadana, a podczas Mszy świętej, razem z Mikołajem Trzeńskim, Najświętszym Sakramentem opatrzona, a po skończonej Mszy świętej, w obecności ludu, tamże na nabożeństwo zgromadzonego, po wtórnie o dobrowolne na ten stan małżeński egzaminowana, a gdy jednostajnie myśl dobrowolną swoją, a nieprzymuszone na ten stan małżeński zezwolenie, twierdziła i wyznawała, i o ślub jak naprędzej dopraszała się: więc za poprzedzającym kapłańskim błogosławieństwem, danym został tymże pomienionym osobom, ślub sakramentalny, ze wszystkimi przynależnymi uroczystościami“.

---



#### IV.

##### Przygotowania do najazdu.

Już trzy tygodnie pozostawali nowożeńcy w małżeństwie „spokojnem, od nikogo nie nagabywanem i nie kwestyonowanem“, gdy nagle łowczy Suchodolski, powziąwszy od sąsiadów języka o tem, co zaszło, i uważając, że nastąpiło tu zmowne porwanie jedynaczki „i jej w małżeństwo nieprawne pojęcie, instytuował Mikołajowi Trzcickiemu proces do konsystorza lubelskiego“, gdzie zapadł dekret zaoczny, nieważność zawartego ślubu orzekający.

Sprawa ta, „przyzwoitemi prawa stopniami“, przeszła z apelacyi Trzeińskiego, od zaocznego dekretu konsystorza, do trybunału metropolii gnieźnieńskiej, lecz nim zapadło postanowienie tej ostatniej władzy, o wstrzymanie dalszego postępowania rozwodowego, łowczy Suchodolski, dowiedziawszy się, że stolnikowa Trzeińska, matka, razem z nowożeńcami ma zamiar pojechać w dzień św. Kazimierza, do sąsiada Jastrzębskiego, na imieniny, do wsi Krężnicy, zebrał kupę czterdziestu pachołków, z fuzjami, sztucami i pistoletami, u każdego w olstrach i na tasaku będącemi, i podjechał w lasek, pod dwór dziedzicznej wsi, rodziny Trzeińskich, Chmielnik, i tamże, w tym lasku, zasadzki poczyniwszy, czekał od rana aż do południa, spodziewanego Trzeińskich przejazdu.

Gdy wyczekiwanie to, dość długo się przeciągało, wysłał był łowczy Suchodolski szpiegów do wsi Chmielnika, dla wywieżenia się o powodach zwłoki, a gdy od tychże umyślonych ludzi powziął wiadomość, że oprócz Stanisława Trzecińskiego, który z domu „dla attentowania interesów sądowych był wyjechał“, cała rodzina Trzecińskich znajduje się u siebie, w Chmielnickim dworku, i że tego dnia nie wyjedzie, „wziął łowczy Suchodolski przed się rezolucyą, napasć na dwór Chmielnicki i stamtąd gwałtem córkę swoją wywieźć. Dla odważniejszego zaś takowej determinacyi swojej uskutkowania, podpajał tychże ludzi swoich gorzałką“.

Obawiając się, aby w trakcie owych przygotowań do najazdu, Stanisław Trzeciński nie nadjechał, zebranych pachołków w dwa

oddziały zgrupował, z których jeden, pod wodzą niejakich Siekierzyńskich, pod dwór Chmielnicki miał się podsunąć „i tam straż odwodową trzymać“, przyczem rozkazał obu oddziałom, aby na wypadek usiłowanej ucieczki Trzeińskich z dworu Chmielnickiego, lub też na wypadek odsieczy ze strony Stanisława Trzeińskiego, zarządzić się mogącej, przeciwników „bili, strzelali, i łapali“. Przyjąwszy główne dowództwo nad najeźdźnikami, rozkazał wreszcie łowczy Suchodolski „z jak największym impetem wpaść na podwórze, a wpadłszy, straż przy kuchni i folwarku postawić, aby czeladź i służący dworscy nie mieli komunikacyi z dworem, dwór następnie otoczyć i razem oknami z ogrodu idącemi i drzwiami jednemi, z jak najżwawszą natarczywością, w izby dworu tego wtargnąć“.

Sam zaś łowczy, z wybranemi osobami, miał innemi drzwiami wpaść do dworu, przyczem zarządził, „aby wóz prosty szedł do dworu za nim, i aby na ten wóz postronki, wór i dwa pęki różg włożone i przywiezione były“.

Po tych zarządzeniach oddziały napastników rączym biegiem podsunęły się pod dwór Chmielnicki i niebawem znalazły się na miejscu napadu...

---



## V.

### N a p a d.

„W tymże samym czasie — brzmi dalej nasza relacya — Mikołaj Trzeciński, zięć nieszczęśliwy, jakowymś-ci trafem, wyszedł z izby na podwórze. Zoczywszy go, łowczy Suchodolski, naprzód na niego podsunął się, wołając:

— A tu? Szelmy! Kanalie!

A potem na ludzi kompanii swojej krzyknął:

— Bij! łapaj! wiąż!

„Wystrzelono kilka naboju do tegoż Mikołaja Trzecińskiego, ale, (jak się wierzyć godzi), z wszechmocnej Opatrzności chybnie wystrzelono...

„Uchodzi Mikołaj Trzeciński przez parkan i płoty ogrodowe, ucieczką w krzewinę ochrania życie swoje...

„Wpadają obcesem ludzie oknami i drzwiami do izby...

„Wpada tamże łowczy Suchodolski, gdzie zastawszy Trzecińską, stolnikową i jej synową, a córkę swoją, oraz Kajetana Trzecińskiego, zapalczywemi słowy ją spottwarza i szablą się zamierza, lecz rażnem uchwyceniem z tyłu rąk jego, przez Kajetana Trzecińskiego, w samym przycięciu uczynionem, zamachu tego nie kończy.

„W trakcie tego, Joanna Trzecińska w tymże impecie zapalczywości ojca swego,

uchodzi do apteczkowego alkierza i tam się zamyka. Co widząc, łowczy, woła na ludzi swoich, aby jednych bili i do alkierza pomienionego drzwi wybili i córkę pojмали.

„Stanął w tych drzwiach Kajetan Trzeciński, tamując ich wyłamania; a tymczasem napastnicy rzucają się na stolnikową Trzecińską, drudzy zaś na Kajetana Trzecińskiego, i, odrywając go ode drzwi alkierzowych, zębami go po rękach kęsają, nakoniec, kilką karabinami z rozkazu łowczego Suchodolskiego, tak gwałtownie we drzwi i w tegoż Kajetana Trzecińskiego uderzają, że i drzwi na kilka sztuk spękane, i Kajetan Trzeciński, na wpół prawie żywy, na ziemię upada. Przez upadłych wtargnęli napastnicy do alkierza, lecz Joanna Trzecińska po drabinie pod dach się dostaje i rąk napastników uchodzi.

„Wpadają za nią i tam najezdniczy, chwytają, a inni, dach wybijając, wołają na swych kompanów, na podwórzu około domu stojących, aby na dach wchodzili i przez dach wybity pojmaną ujęli.

„Jeszcze nie byli z owej gorzałki wyszumieni, przeto nie byli wbiegnąć na dach zdolni...

„Ci tedy, pod dachem będący, zrucają impetem młodą Trzecińską na dół do alkie-rza...

„W tym wypadku, chwalić Opatrzność wszechmocną, że Joanna Trzecińska życia nie utraciła.

„Tak ciężko przestraszona i stłuczona chwytają, biorą i gwałtownie kładą na ów wóz przygotowany, i tam czterech ludzi oneż przyduszają, kieszeń jej z kolczyków dyamentowych, kilkadziesiąt dukatów czer-

wonych złotych pieniędzy, gotowych, wartujących, wypróżniają.

„Mdleje stolnikowa Trzecińska od żalu. Strachem odżywiony Kajetan Trzeciński, wybiega na podwórze ratować bratową swoją...

„W tej gwałtownej wrzawie i sam sędziwy stolnik Trzeciński, po obiedniej porze, w osobnych się izbach wczasujący, obudzony, wychodzi na ten tumult, prosi i mówi do łowczego Suchodolskiego:

— Wszak pod sprawiedliwym monarchą, wszak pod wyraźnemi o bezpieczeństwie domów i osób prawami, wszak pod czułymi sędziami żyjemy! Wszak współobywatele i sąsiedzi między sobą jesteśmy. Nie czyń domowi i osobom moim tej gwałtowności!

„Lecz że za dotkliwa na to odpowiedź,

porywa łowczy Suchodolski stolnika Trzecińskiego, uderza nim o ziemię, sam wypada na podwórze i woła na wóz pomieniony i ludzi swoich:

— Wyjeżdżaj!!!

„Podniesiony z ziemi stolnik Trzeciński, idzie za łowczym Suchodolskim na podwórze, powtarza prośby swoje bezskutecznie, nakoniec wóz ów, kilku ludźmi obciążony, uchodzi.

„Tamuje ten wóz Kajetan Trzeciński, usiłując ratować bratową swoją. Strzelono cztery razy do niego. Te postrzały, jedne przez suknię, na ramieniu, drugie, przez obuwie na nogach, obadwa ze zdrapaniem ciała, przeszły...

„Biją, strzelają do ludzi stolnika na podwórzu. Z tych jednego śmiertelnie poszamotano, że wkrótce umarł; drugiego

postrzelono, a trzeciego obcięto, obudwóch na wieczne kalectwo“.

Wyjeżdża ten wóz z pojmaną małżonką Mikołaja Trzeińskiego. Jadą przy nim najezdnicy, lecz przyjechawszy ku wrotom, widzą już włościan chmielnickich, bliżej dworu mieszkających, i strzelaniną na dziedzińcu zwabionych.

Widząc tę przeszkodę, zwracają najezdniczy wóz od tych wrót ku drugim wrotom.

Zastawszy je zawartemi, łamią, odcinają i otwierają.

„Jedzie ów wóz w też wrota, aliści szczęściem połowa ich sama się zamyka i tak ów wóz przytrzymuje...“

„Konie rozhukane, targnąwszy, nagle z orczykami się oderwały i w pole bryknęły...“

„Wóz tenże we wrotach zostaje. Z niego

Kajetan Trzebiński wydzwiga bratową swoją; chlōpi na wozie siedzący uciekają. Joanna wbiega napowrót do dworu, a za uciekającymi najezdnikami ujeżdża łowczy Suchodolski, wóz ów zostawiając.

„Jeden tylko z owej kampanii, nazwiskiem Królikowski, mieszczanin, szewc lubelski, był pojmany i pod strażą dworską zatrzymany „dla dania o ułożeniach tego najazdu wiadomości, ale wkrótce przez cyrulika, niewiernego Jazgiela, obywatela bełżyckiego, temuż dla kuracyi przydanego, a datkiem Suchodolskiego ułudzonego, z pod tej straży, śpiący, zdradziecko wyprowadzonym został“.



## VI.

### Manifesta.

Odgłos spełnionego bezprawia głośnem echem rozległ się po kraju. Dla uśmierzenia opinii, która, nie wchodząc w szczegóły, w ocenienie prawidłowości postępowania Mikołaja Trzcńskiego z rodziną Suchodolskich, widziała w najeździe na dwór Chmielnicki akt samowoli i gwałtu, na osobie współobywatela spełniony, postanowił łowczy Suchodolski opis całego wypadku podać do ksiąg grodzkich i zaprotestować

przeciw uwiezieniu jedynaczki z domu rodzicielskiego i skojarzeniu jej ślubem, przez rodziców nieprzyzwolonym, z Mikołajem Trzecińskim.

Niezależnie od tego rozesłał łowczy po kraju drukowany opis wypadku i podniósł w nim, ze swego stanowiska, bezprawie, przeciw władzy jego ojcowskiej spełnione, przyczem domagał się, aby do czasu unieważnienia małżeństwa, konsystorz lubelski mieszkanie dla Joanny Trzecińskiej w jego domu wyznaczył.

Mikołaj Trzeciński na ten ostatni środek gotów był przyzwolić, w przekonaniu, że trybunał metropolii gnieźnieńskiej, po rozpatrzeniu okoliczności sprawy, ważność zawartego małżeństwa uzna, lecz domagał się wyznaczenia dla swej żony „lokacyi bezpieczniejszej“ nad dom łowczowstwa

Suchodolskich. Żądanie to konsystorz lubelski odrzucił, skutkiem czego, Mikołaj Trzeciński, nowe „remedia juris“ przed konsystorz gnieźnieński i nuncyaturę wywołał; brat zaś jego, Kajetan, w protestach do ksiąg grodzkich wniesionych, stan sprawy w wyrazach rzeźnych i domagających się zemsty za spełniony najazd, opisał.

Nie zaniechał też obrońca brata swego, Kajetan Trzeciński, w oddzielnie drukowanych odezwach, między obywatelstwo rozesyłanych, objaśnić opinii ogółu o szczegółach sprawy i najazdu łowczego na Chmielnik, „aby i przezacny naród — tak brzmiał manifest — i w nim nietylko najwyższe sądownicze, ale i prawodawcze zwierzchności, uwiadomione były, jak każda nienawiść cudzą sławę, by najświetlejszą i najzacniejszą, zaćmić jest zdolną“.

Prądy myśli, potraćające o strunę filozofii racjonalnej, o wymagania i zasady „prawa natury“, jako dalekie echa końcowych lat XVIII w., odzywają się w owych elaboratach uczuciowo-prawniczych, z charakterystycznymi zwrotami stylu, dowodzącymi, że biegle palestranckie pióra kauzyperdów lubelskich miały w nich czynny udział.

„Prawo natury — brzmiały wstępne manifestu słowa — w grubych owych i mało naukami oświeconych wiekach ciemno rozumiane, ostro tłómaczone i surowością zbyteczną wykonywane, w późniejszych zaś nauką chrześcijańską objaśnione i według prawideł światła rozumu, oraz praw boskich umiarkowane, władzę nad dziećmi ojcowską, na samej szczególnie i istotnie ojców łagodności ugruntowało, tak wa-

rownie, że ostrzejsze nad słuszość z dziećmi postępowanie, swobodnemi je od władzy ojcowskiej czyni...

„W obieraniu zaś sobie *stanu* — najswobodniejszej im udzieliło wolności, tak dalece, że tylko *radę* od rodziców dla dzieci, a dla rodziców poszanowanie od dzieci, obowiązkiem zostawiło.

„Związek zaś małżeński, z samego jedynie dwóch osób wzajemnego sobie, dobrowolnego zezwolenia i przyrzeczenia, pochodzi, i jego prawdziwem zostaje jestestwem — wzajemna w sercach przychylność, tak dalece, że gdy jedna osoba z powodu szczerego przywiązania chętnie oddaje się drugiej, nie godzi się osądzać to gwałtownem porwaniem, ale przyrzeczeń i rzetelnych oświadczeń dopełnieniem“.

Po przytoczeniu wszystkich wyżej przy-

wiedzionych okoliczności, szczegółów związanego między nowożeńcami, z wrzaskiem przyzwoleniem rodziców stosunku i opisu najazdu, autor manifestu następującym zwrotem relację swoją kończy:

„Te są istotne, a żadną okrasą nie upozorowane w dziele wzmiankowanem obojej strony postęпки, tym celem wiernie spisane, aby i przez cały przezacny naród, i przez namiestnicze, i pośrednicze magistratury, i przez samą najjaśniejszą ukoronowaną krajową władzę czytane, rozstrząsane, rozważane i na szali sprawiedliwości ważone były. Niech prześwietne magistratury sądowe z obowiązku urzędów swoich rozważą, niech dadzą przed majestatem najsprawiedliwszego i najmilszego króla, pana naszego miłościwego, świadectwo, niech uczyni najjaśniejszy i naj-

mędrszy król, przez wrodzoną sobie i jego tronowi zwykłą ku uciśnionym litość, sprawiedliwe rozważenie: który z tych dwóch jest przyzwoity postępek, czyli ten, któremu były prawa przyrodzone i cywilne powodem, środkiem i celem, czyli ten, który z przemocą nad wrodzoną wolnością i obywatelską równością wynikał, w dostatnich majątkach i mnogości przyjaciół zaufany, a na uciśnieniu równego współobywatela kończył się? Czyż może być który członek tak obrażony, żeby ciało całe nie uczuwało dolegliwości? Czyż jest która swobodniejsza wolność nad tę, która jest prawu poddana?

„Więc przed twoim, najjaśniejszy panie, majestatem, składamy to nasze rzewliwe uzalenie, a podając je ku wpisaniu do ksiąg jw. starosty twego grodzkiego lu-

belskiego, swobodną sobie w powiększeniu i jawniejszym tegoż użalenia niniejszego wyłuszczeniu ostrzegamy i zachowujemy władność“.

---



## VII.

### Relacya woźnego.

Nim sprawa zwykłym biegiem przejść miała przed forum trybunału, pokrzywdzeni Trzcinińscy zabrali się do ustanowienia czynu najazdu — środkami w prawie krajowem przewidzianemi.

„Opatrzny woźny“ lubelski, Mateusz Stek, zeszedłszy na miejsce napadu, spisał protokół znalezionych śladów gwałtu, w obecności świadków i podał takowy do ksiąg grodzkich, z powołaniem się na swój urząd,

„jako widział Michała Trzecińskiego, stolnika urzędowskiego, na łóżku chorobą złożonego, u którego bok zasiniały i rękę prawą napuchłą, zasiniałą, krwią zaszłą, *który o swojej mocy przewrócić się nie mógł*, co z przyczyny tratowania końmi i przejechania wozem dostało się. Także u bekieszki jego zielonej naderwany kołnierz i oszyjki urwane. Dla której to ciężkiej słabości do obdukeyi do kancelaryi zjechać nie mógł“.

Poświadczył nadto woźny, „że u wielmożnego Kajetana Trzecińskiego widział u żupana pod szyją i piersi podarte, zdrapane, pozakrwawiane, zasiniałe, osobliwie zaś w jednym miejscu na tychże piersiach u niego ranę zaskorupiałą, na podobieństwo, jak gdyby przerznęto lub przecięto. Także wóz prosty, bez orczyków, ze sztywną wagą, złamano . . .“

Poświadczył następnie, „że widział boki obadwa w kilku miejscach krwią zasze i zasiniałe u wielmożnej jejmości pani Teodory z Dłużewskich Trzecińskiej, stolnikowej urzędowskiej“.

Poświadczył w końcu, „że widział drzwi wybite do pokoju narożnego, tudzież kawalek szabli u odrzwi wrot, przez urodzonego Czalczyńskiego, chcącego rąbnąć w Kajetana Trzecińskiego, w rąbnięciu utrafiiony, i w pokoju zaś, w którym w. Teodora z Dłużewskich Trzecińska mieszka, połowę okna wybitego z krete sem, a to przez najezdników; niemniej jupe w morderowym kolorze kamlotową na te jże Trzecińskiej podartą, jako i siniak na ręce nad łokciem krwią zaszy, a zaś u w. Joanny z Suchodolskich Trzecińskiej, stolnikowiczo wej urzędowskiej, łokiec u ręki zsiniały

i krew jeszcze po ręce od rany płynącą, niemniej skarżącą się na ból w boku i chorującą... Przy wrotach zaś obudwóch, w podwórzu będących, drągi połamane...“

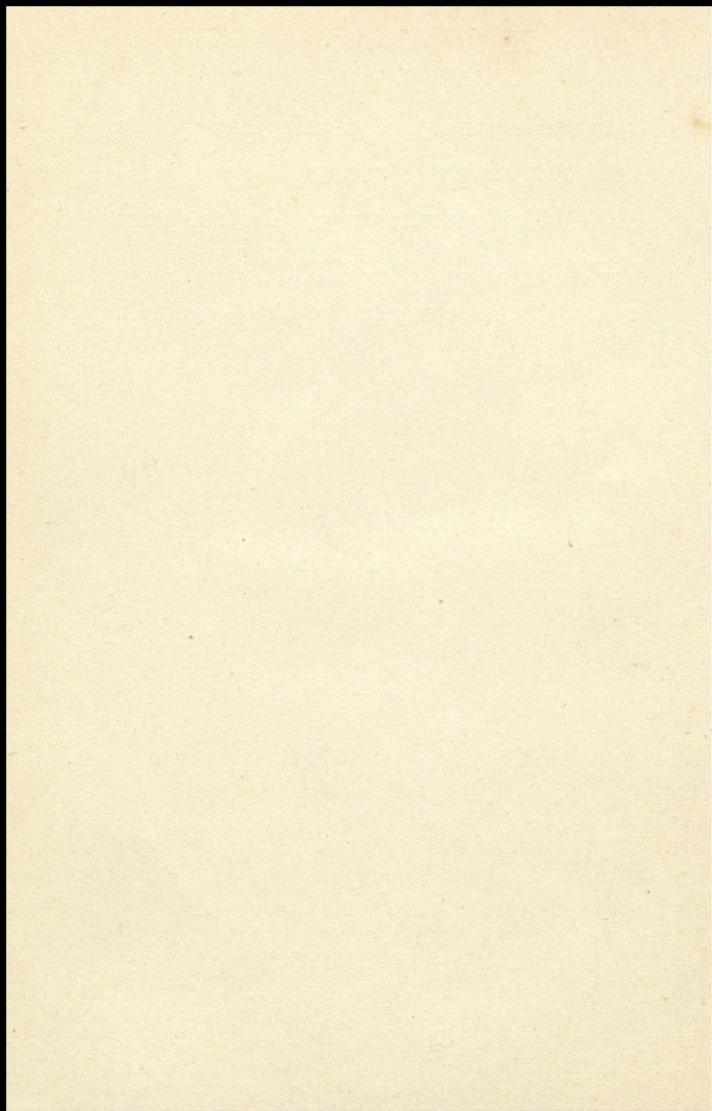
\* \* \*

Po takim przygotowaniu się do uporczywej walki przed kratkami sądowymi, należało spodziewać się niemniej stanowczego rezultatu... Stało się jednak inaczej. Dzięki wdaniu się obywatelstwa miejscowego, waśń obu poważanych rodzin nie przestąpiła progów nieugiętego w karceniu tego rodzaju czynów samowoli trybunału...

Zakończyło się wszystko zgodnem załatwieniem sporu, jak o tem sądzić można, z głuchego milczenia ksiąg sądowych lubelskich, o owej sprawie. Zagłuszyły ją wypadki, jakie na szerszej arenie niebawem

rozegrać się miały, a jedynie, jako dalekie echo rozgrzmiącej i uciszonej burzy, pozostało kilka zadrukowanych kartek, przez ofiary dramatu po kraju rozrzuconych, z których niniejszą zaczerpnięto opowieść.

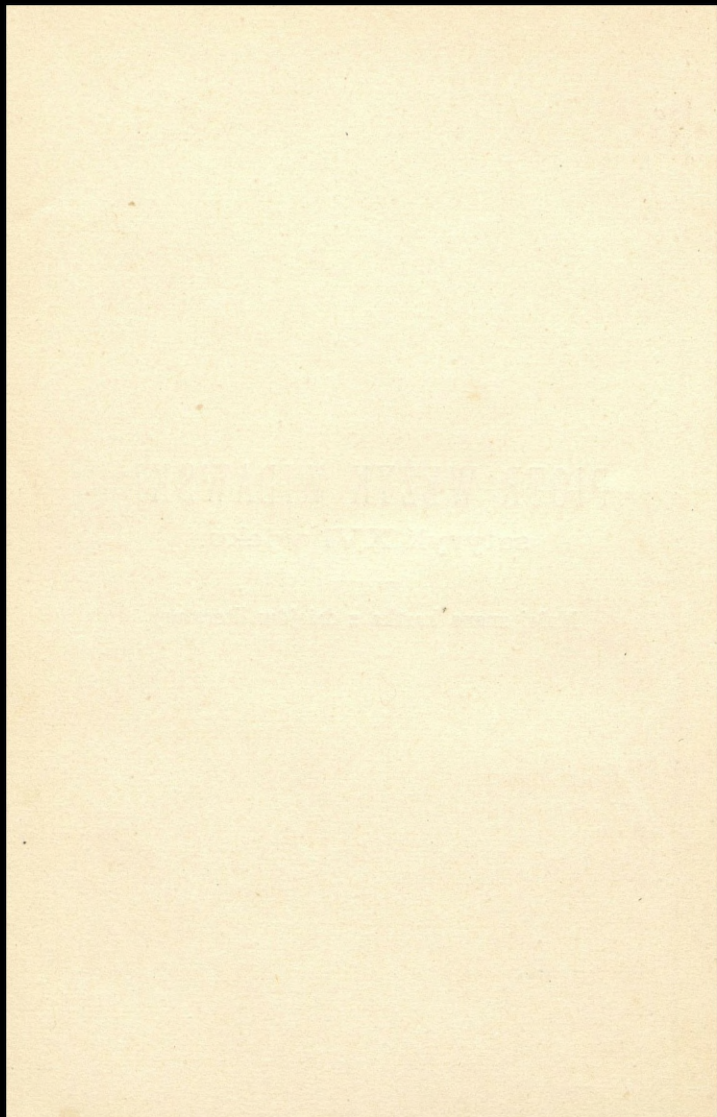
---



PIOTR WĘŻYK WIDAWSKI,  
satyryk XVI wieku.

---

Mniej znana kartka z dziejów literatury.





**Z** braku, a w najlepszym razie, z niedokładności szczegółów o osobie i pracach Piotra Wężyka Widawskiego, pisarza - satyryka XVI. wieku, widoczna, że historycy i bibliografowie literatury swojej nie mieli przed oczyma rzadkiego, co prawda, dzieła Widawskiego, stanowiącego bogatą skarbnicę do poznania obyczajów domowych ówczesnej Polski, i, że wzmiankując o nim, bądź pomięszali ze sobą nazwiska różnych autorów, bądź też pracę jednego autora uważali za produkt umysłowy dwóch satyryków odrębnych.

*Suum cuique!* Czas oddać sprawiedliwość jednemu z epigonów złotego wieku literatury, czas włączyć do Panteonu mężów, zasłużonych umysłową i obywatelską działalnością, nazwisko jednego z lepszych synów swego wieku i ukazać w zwierciadle prawdy, oblicze pełne prostoty, serdeczności i rozwagi, pisarza, który za życia nie szukając rozgłosu, a pragnąc jedynie poprawy obyczajów współobywateli, ukrył się pod kryptonymem początkowych zgłosek nazwiska rodowego i szlacheckiego klejnotu i odzywając się z poza grobu nawet do następnych pokoleń, pozostawił po sobie pamiątkę, zasługującą na poznanie i uznanie ze strony myślącego ogółu.

---



## I.

Pierwsze wydanie dziełka autora, podpisanego zgłoszkami: *Wi. Wę.* pod tytułem: „*Exorbitantiae, albo o rzeczach w każdym królestwie y we wszelkiej rzeczypospolitey szkodliwych, na które ani prawa, ani winy żadney nie masz. Z uniwersałem poborowym na zbytki, utraty y niepotrzebne wystawy domowe*“, wydrukowane zostało w formacie ćwiartkowym, 1603 roku, w Krakowie.

W. A. Maciejowski wzmiankując o niem w *Piśmiennictwie* (T. III. 474), przypisuje

je za śladem Wiszniewskiego, niejakiemu Wędrogowskiemu i podaje dwa następne wydania: z roku 1640, drukowane u Łukasza Kupisza, znajdować się mające w Zakładzie Ossolińskich we Lwowie, i ostatnie, z roku 1649, w niczem nie zmienione, odnalezione przez Maciejowskiego w księgozbiornie Ambrożego Grabowskiego.

Dwa te ostatnie wydania noszą tytuł: „*Lekarstwo na uzdrowienie Rzeczypospolitej*.”

W rzeczy samej, Wiszniewski (T. VI, str. 100), przywodzi w przypisku 98 wyjątek: z *Exorbitancij* z r. 1603 i wypisuje wyraźnie nazwisko autora Wędrogowskiego, o którym, Estreicher, w *Bibliografii* (T. VIII, str. 130) pod rokiem 1603, nie nie wzmiankuje, a natomiast przytacza nazwisko Wida wskiego P. Wężyka,

przypisując mu autorstwo dwóch druków: *Lekarstwa na uzdrowienie Rzpltej* (u Kupisza w Krakowie) i *Exorbitancyj* (u Łazarza w Krakowie).

W innym wszakże miejscu (T. IV, str. 377) Wiszniewski, przywodząc ustęp z naszego autora, odnoszący się do *Uniwersału na zbytki*, a będący jedynie wyjątkiem z *Exorbitancyj*, przypisywanych, jak to widzieliśmy wyżej, Wędrogowskiemu, najwyraźniej podaje nazwisko Piotra Węzyka Widawskiego, jako autora przytoczonego wyjątku.

Niedokładność rażąca napotyka się w tej mierze i u Maciejowskiego, który podaje wprawdzie w T. III. *Piśmiennictwa* (str. 338) nazwisko Piotra Węzyka Widawskiego, jako autora *Przemowy do Stanisława Karśnickiego*, burgrabiego zamku krakowskiego, i jako

łómacza *Filomeli Owidyusza* (Metamorf. VI), lecz o innej pracy tegoż autora nie wie.

Estreicher, pod rokiem 1649 (T. VIII, 271), kładzie obok nazwiska J. D. Solikowskiego, w nawiasie, nazwisko Widawskiego, przy tym ostatnim zaś (VIII, 272), nazwisko Solikowskiego, uważając prawdopodobnie jedno z nich za pseudonym drugiego.

F. M. Sobieszczański, zawsze tak drobiazgowy i dokładny w podawaniu szczegółów bio- i bibliograficznych autorów dawniejszych polskich, nie słyszał widocznie o Piotrze Wężyku Widawskim, gdyż go w *Encyklopedyi Orgelbr.* (T. XXVI, 840) zupełnie pomija.

Zna go natomiast ze słyszenia Tomasz Święcki w *Pamiętkach hist.* (T. II, 279), lecz niedokładnie, gdyż przypisuje mu

kilka dzieł, przeciw zbytkom jakoby wydanych.

Jeżeli do tego dodamy, że ani w Bentkowskim, ani w Jocherze, nie ma najmniejszej wzmianki o Piotrze Wężyku Widawskim, że Niesiecki (*Herbarz* T. IX, 291, wydanie Bobr.) czyni go autorem wiersza pod tyt.: *Philomela, seu Carmen Patrium* 1586 roku, przyjdziemy do przekonania, że, z wyjątkiem jednego Siarczyńskiego, który, w *Obrazie wieku Zygmunta III* (Cz. II, str. 304), dokładnie autorstwo *Exorbitancyj* Widawskiemu przyznaje, na próżnobyśmy już w źródłach innych szukali informacji o szczegółach życia i prac tego pisarza i że, niezbyt wprawdzie bogaty w fakta biograficzne i literackie, przyczynek, oparty na treści rzadkiego egzemplarza utworu Widawskiego, znajdu-

jącego się w bibliotece Ordyn. Zamojskich w Warszawie, i na nieznanych dotychczas szczegółach z życia tego pisarza zaczerpniętych, dla historyi literatury polskiej objętym nie będzie.

---



## II.

Miasteczko Widawa w Sieradzkim, w powiecie Łaskim, nad rzeką Niecieczą położone, było gniazdem szeroko rozgałęzionego w Rzpltej rodu Widawskich, którzy pieczętując się najprzód herbem Abdank, następnie zaczęli się pisać Weżykami Widawskimi.

Niesiecki wzmiankuje o Piotrze z Widawy, sędzi ziemskim sieradzkim, który w r. 1413 podpisał przywilej Horodelski, a w r. 1436 pokój Brzeski.

Głośny z cnót swoich i pism teologicznych, Walenty Widawski, rektor akademii krakowskiej, w drugiej połowie XVI w., z tej pochodził rodziny.

Widawscy byli do tego stopnia miłośnikami nauk, że ich nakładem utworzoną została w miasteczku Widawie szkoła, zaszczycona nazwą *Akademii Widawskiej* (Siarczyński II, 304).

Nasz Piotr Wężyk Widawski, jak to się okazuje z *Akt Inscrip. Gr. Sier.* (Ks. 96, str. 40), był synem Jerzego Widawskiego, a ojcem trzech synów: Wojciecha, Macieja i Piotra Wężyków Widawskich (Ks. 88, str. 376), z których ostatni odziedziczył po ojcu zamiłowanie do pióra, gdyż sam był autorem panegiryczno-poetycznej rozprawy pod tyt.: *Aquila aquilonis*, wydanej z pięknymi drzeworytami w Krakowie,

w r. 1601, a obejmującej pochwały Stefana i Zygmunta królów i Jana Zamojskiego.

Nie ulega wątpliwości, że idąc za przykładem, powszechnie w bogatszych rodzinach szlacheckich w Polsce w wieku XVI praktykowanym, nasz Piotr Węzyk wyższe klasyczne odebrał w Krakowie wykształcenie, o czem świadczy i erudycya, jaką w piśmie swem ujawnia, bliska znajomość z dziełami Owidyusza i stosunek z drukarzami krakowskimi, jaki ojciec i syn Widawscy utrzymywali, wydając u nich swoje prace.

O stanowisku, zajmowanem przez Piotra Widawskiego między szlachtą, ziemianami, świadczy obiór jego w charakterze posła na sejm lubelski z roku 1569 i rola, jaką nasz pisarz na tym sejmie odegrał.

Podówczas bowiem, z powodu zaprowadzenia nowego myta w żupach ruskich, województwo ruskie wielce się tem obruszyło i żądało zniesienia owej uciążliwej opłaty. Rzecznikiem owego żądania przed królem, obrany został nasz Piotr Wężyk Widawski, poseł sieradzkiej ziemi.

Dzierżawcą myt w województwie ruskiem, był głośny Piotr Zborowski, wojewoda sandomierski, godny brat niemniej głośnego Samuela Zborowskiego i potomek owego Zborowskiego z Rytwian, który rodzinny zamek Jastrzębiec, w przystępie gniewu zburzył, na jego miejscu staw wykopał i wodą zalał.

Kiedy więc 12 czerwca 1569, na Radzie senatorów Rzpltej, wystąpił poseł sieradzki z żądaniem zniesienia myt w żupach solnych, z uwagi, że owo myto „wielkie

*angaria* czyni, bo tak wiele myta dać, jako za co sobie soli kupi“, t. j. że podatek równa się prawie wartości samego towaru, przyjaciele pana wojewody, Zborowskiego, podówczas w Radzie nieobecnego, pospieszyli doń z doniesieniem, „iż o to myto skarżono“.

Przybył tedy pan Zborowski na salę i temi się słowy na pana Widawskiego puścił:

— „Żeś tu powiedział, że myta tak wiele dawano, jako za co sobie kto kupi. Omylnieś to mówił, a naucz się prawdy mówić!“<sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> O niepoohamowanej gwałtowności Piotra Zborowskiego, świadczy fakt, że jednocześnie, kiedy na sejmie lubelskim toczyły się rozprawy o kwarcie królewskiej, a pan Piotr zażądał, aby król się przyłączył do zdania większości, arcybiskup gnieźnieński zaprotestował przeciw temu w słowach:

Oburzyła się niepomernie szlachta przeciw panu wojewodzie, „iż się tak rzucił na Widawskiego“.

---

— Wasza Królewska Mość obowiązany stać przy prawie!

Na to wojewoda:

— Upominam Waszą Królewską Mość, iż ja siedząc na miejscu swem na to nie przyzwalam i oponuję się.

Król odrzekł:

— Panie wojewodo! Siedziało ich tu dosyć na tych stołkach przed tobą, którzy się też o to kusili, aby mię byli siodłali. Nie uczynili temu dosyć, a tak i ty się o to nie kuś!

Na to wojewoda gniewnie:

— A toć ja to wszystko od tego księdza cierpię, ale to ja tobie księżę oddam!

Arcybiskup: Coś odpowiadasz mi?

Wojewoda: Odpowiadam!

— Miłościwy królu — rzecze na to arcybiskup — to Waszą Król. Mością świadczę, że mi pan odpowiada, ale ja się nic Pana nie boję. Ogląda to pan, iż sprostam mu, jedno to proszę, niech będzie w pamięci Waszej Król. Mości i Rad Koronnych, iż mi pan odpowiada!

Jakoż „wotowali na to i uradzili, aby także przystąpiwszy do pana wojewody, powiedzieli mu, że się rzucił na poczciwego szlachcica, a iż on co mówił, prawdę mówił, bo pan (Zborowski) nie wybiera myta sam; wybiera go kto inny“.

13 czerwca, we wtorek znowu „posłowie około myta i pana Widawskiego się rozmawiali“.

„Posłali z siebie, z pośrodku, pana Szafrąca, pana Przyjemskiego, pana Andrzeja Zborowskiego do pana wojewody, aby to nagroził panu Widawskiemu“<sup>1)</sup>.

Nie podaje nasze źródło, w jaki sposób

---

Wyszedł pan wojewoda z furią wielką z Rady i panów za niem kielka“. Kojalowicz: *Dziennik sejmu lub. 1569 r.* Petersburg, str. 423.

<sup>1)</sup> *Dziennik sejmu lub.* str. 423.

zakończyło się i ułagodziło to zajście. Z podjęcia wszakże samej sprawy przez koło poselskie, widoczna, iż krzywda, wyrządzona Widawskiemu, srodze obeszła posłów, którzy obrażonemu publiczne świadectwo zacności wystawili i dalekiej przekazali potomności.

Około roku 1588 widzimy Widawskiego na urzędzie „poborey powiatu Szadkowskiego“, i w tym charakterze oblatuje on kwity wniesionego podatku na rzecz skarbu sieradzkiego <sup>1)</sup>).

Inne wzmianki, w księgach metrycznych znajdujące się, dotyczą transakcyj, dokonanych między Widawskim, a synami jego, co do zamiany części na mieście Widawie, lecz nazwisko Widawskiego występuje na

---

<sup>1)</sup> *Inscr. Sieradz.* Ks. 88, str. 375.

arenę literacką dopiero w końcowych dziesiątkach XVI wieku, w zbiorku rymów, ułożonych bądź na cześć Karśnickiego Sasina z Wielkich Karśnic, bądź też na herb Jastrzębiec, przyczem zamieszczonym został i przekład, lub też naśladowanie Owidyuszowej *Filomeli*, opowieść pod tyt.: *Morale* i wiersze łacińskie z drzeworytem, przedstawiającym Junonę w stroju XVI wieku <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Dziełko to widział Maciejowski w Bibliotece Głównej w Warszawie (*Piśmiennictwo* III, 338) i odnosi je do 1590 roku. Nie znalazł go wszakże prof. Wierzbowski w liczbie druków z XVI wieku, odszukanych już po wydaniu spisu *Poloniców*, choć o niem wzmiankuje Estreicher w *Bibliografii XV i XVI wieku*. Kraków, 1875, str. 209.

---



### III.

Zaliczam Widawskiego do pisarzy XVI wieku, pomimo, iż jego *Exorbitancye* wyszły już w zaraniu XVII stulecia, t. j. w roku 1603, a to z tej zasady, że nie data wydania książki stanowi o zaliczeniu pisarza do pewnej epoki, lecz czas jego twórczości.

Zagęszczone w Polsce XVI wieku, zwłaszcza pod koniec tego stulecia, zbytki, z powodu których, jak świadczy Warszewicki w dziele: *de optimo statu* (1590), wiele ma-

jętnych rodzin do ubóstwa doszło; krzewienie się rozrzutności nietylko między magnatami, ale i między szlachtą, która „trzymała zgraje próżnujących dworzan, sług barwianych gromady, a żony ich sześćma końmi woziły się“, objawy owego zbytku w potrawach, ubiorach, sposobie życia i używania; wszystko to budziło w poważniejszych umysłach konieczność upamiętania i poprawy obyczajów, drogą publikacji satyrycznych utworów, wysmiewających rozpowszechniające się coraz bardziej nadużycie <sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Było to już i za czasów Reja, który tak gromił zbytki swej epoki: „Potrawy zepstrzone, w potrząski rozliczne, pozłotki, farby, snadź by je mógł kto zwać nie potrawami, ale obrazkami. Na jednej misie baran pozłocisty, na drugiej las, na trzeciej kur, na czwartej pani ubrana. Więc dęby z żołędziami, roje pozłociste, kwiaty, orły,

Wystąpił tedy „za prośbą y żądaniem wielu dobrych ludzi, którym pokój mił y w statku się z skromnością kochają“, autor, podpisany literami *P. Vi. W.*, pod któremi kryło się nazwisko naszego pana Piotra, z książeczką, wyśmiewającą i potępiającą wady swoich współobywateli, i, przechodząc kolejno wszelkie ich rodzaje, kreśli dowcipnemi i barwnemi zwroty obraz wychowania i działalności współczesnego sobie pokolenia.

„Złe a pieszczone wychowanie — tak rozpoczyna swoją satyrę Widawski — w dobry szczep płonka wsadzona, nadzieją każe żyć, nie na swe, ale na cudze szczęście i rzeczy każe patrzeć, upadku czyjego

---

zające, a potrawa w srodku diabła warta“. Literaturę z owej epoki przeciw zbytkom skierowaną, przytacza Wiszniewski w T. VI. na str. 100 i nast.

czekać, albo odmiany w Królestwie, lub Interregna, jednym okiem na duchowny stan, drugim na świecki poglądując. I tak młodość nieopatrzna temi wiatry niepewnemi, a sobie szkodliwemi nadyma, obiecując jej być biskupem, albo starostą, wojewodą, albo dygnitarzem jakim. A ono takie wychowanie i próżną nadzieją życie jest szkodliwe. Albowiem tych rzeczy niepewnych nie dostępuje i pewne swoje dla nich utracą; a chcąc na dwu drzewiech upaść, na żadnym nie upada, cień próżny chwytając; jedni umierają, albo symonią się bawią, abo na wszelkie *nefas* się udawają“.

Drugim, zdaniem satyryka, powodem upadku, jest chęć ukrywania swego ubóstwa i żądza nadrabiania miną własnego niedostatku.

„Więc srebra, barwy odmienne, szarłatne, półgranatowe, w których i masztalierzom chodzić już w Polsce nie nowina. Ano cudzym się pysznić, abo cudzego, miasto swego, używać, jest onej wrony sprawa, która się była cudzym pierzem upstrzyła. Abowiem szarłat, granat, nie nasze to, ale owcze suknie: jedwab — robaczków praca i robota. Skóry, sobole, kunie, rysie odzienia: a my nadzy nago się rodzim i nago schodzimy, a w tym chodząc lice grzechu nosimy, za grzech nagość swoją tym do czasu przykrywając. A więc jakich zwierząt odzieży używamy, takich i obyczajów abo natury naśladowem. Jeśli wilczych, to drapieżnej, jeśli lisich — to chytrej, jeśli kunich, sobolich — to pysznej, hardej, gniewliwej... których tedy zwierząt ozdoby bierzemy swoje, ludzkie, rozum

i baczenie: Boskie dary tracimy. Drugi nie ma co jeść, a o strojach myśli. Ano, jedno o to się starać trzeba, bez czego być nie możemy. Bo gdy na niepotrzebne rzeczy wydamy, na to, których nam trzeba, mieć nie będziemy...

„Najdują się też i tacy, co *ad opinio-*  
*nem, non naturam vivunt*, choć stołem do-  
brze, szatą, koniem, wedle potrzeby, prze-  
cie chcą wiedzieć i słyszeć: jeśli to ludzie  
widzą, abo przyznawają. A tak ci oczy  
i uszy nienasycone mają. I tak się nigdy  
nie najedzą, nietylko bogatymi będą i nikt  
tych potraw chwalić nie może, które jedno  
oczy, albo uszy pasą, a nie żołądek...

„Też i to szkoda prawem nie opisana  
kiedy z tego żywiemy, czego jeszcze nie  
mamy, ale kiedyś mieć mamy, a już to  
tracimy nie doczekawszy, jako zastawy lub

arendy. Ale to jeszcze gorsza, kiedy razem poźrzem nie tylko doroczne snopy, ale grunt i z chłopy...<sup>1)</sup>). Ano z tego żyć mamy, co trzymamy i na potomne czasy i przygody ostawiać. Mamy zbierać jakobyśmy dłużej żyć mieli, a tego używać, jako jutro umrzeć.

„Posagów też wielkich dawaniem i wypraw strojnych uboży się nie pomału każda Rzplta. Bo na posagi się kasać, cudzego pragnąć, swoje utracają i pierwej utracą, niż posagi biorą. Czasem nie według myśli i serca pojmują. A jakież tu błogosławieństwo Boże ma być, gdy posag, nie żonę pojmuje? Abo i dobre mieszkanie w towarzystwie niepomyślnym, abo nierównym, gdy młody starą, ubogi bogatą pojmuje? Co tam za wymówki, frasunki, kłopoty!

---

<sup>1)</sup> Wyrażenie wzięte z *Satyra* Kochanowskiego.

„A drugi i świnie i kozę pojąłby by pieniądze miała! I pojmuje! Żaż nie lepiej, nie tracając, równą sobie pojąć?

„Lecz jako się nadzieją karmimy, która nas często oszukawa, tak się na poślednie koła nie oglądamy i nie wglądając w rzecz samą, jedno co przed oczyma jest. A tak i w tym pomiarkowania trzeba wielkiego“.

---



#### IV.

Przechodząc do wad ogólnych, podkupujących statek i bezpieczeństwo narodu, gani Widawski zwyczaj sprowadzania wojsk najemnych, cudzoziemskich, do kraju, zwyczaj, który się za Zygmunta III wielce rozpowszechnił.

„Żołnierz postronny i cudzoziemski koronę uboży i skarb wynosi, a przecie nie kontent z żołdu i z łupu, swój też, gdy się na stroje przekłada...

„Ano do boju nie trzeba złota, srebra, jedno żelaza dobrego, doświadczonego.

„Dobrze się bijali przodkowie nasi, gdy główkami węzowemi rzędy do koni oprawiali, od których *wężykowie* nazwani są i w Polsce imię to zatrzymawają. Pancerzowym też rzędem dla przecięcia drudzy powłóczyli, abo blaszkami żelaznemi pokładali, abo mosiądzowymi. Bo na złoto, srebro, nieprzyjaciel chciwy. Dla niego się dobrze bije, gardło waży, a gdy pojma, drogo szacuje. Zbytek wszelki i ciężar w wojsku być nie ma i drapieztwo dla płaczu ubogich ludzi, których łzy, by najlepsze żołnierze porażają.

„Święty to był i dobry on porządek króla Bolesława I, który był postanowił, aby koleją województwa, choć z żołdu Rzpltej (każdy) służył wedle potrzeby. A toć była szkoła rycerskich ludzi i byłaby jeszcze baszta od pogan, chrześcijaństwa wszego.

Ale skowaliśmy dziadowskie granaty na pługi, abo na różny, a kwoczki w przyłbicach siadają“<sup>1)</sup>).

Odzywa się i w przestroгах Widawskiego ekonomista, znający dokładnie potrzeby pielęgnowania wszystkiego, co swojskie.

„Tym się uboży Rzplta, gdy na tym nie przystawają ludzie co mają, swemi rzeczami gardząc, cudzoziemskich szukają. Potraw, szat, sług, broni, koni, mając swe lepsze i mocniejsze, naszemu niebu, krajom i czasom przywykłe. Ale *quod rarum, carum vilescit quotidianum*. Lepsze zamorskie rzeczy z Indyj, Arabiej, z Włoch, Franciej, Niemiec, z Wołoch, Węgier, ba, i z Turek, pogańskie! Ach, niestetyż, lepsze z apteki, niż z jatki, których rzeczy

---

<sup>1)</sup> Wyrażenie z *Satyra*.

sami nazwać nie umieją. A co tam świnie jadają, to my tu drogo kupujemy. Przeto też nas pedogry, chirogry, scyatyki łamią i inne choroby, których jako *aromata exotica* nazwać nie umiemy, tak chorób i doktorowie ich nie znają. Dobrze tedy Polaka inne narody malują nago, z postawem sukna i nożycami, aby sobie krajał, jako chciał<sup>1)</sup>, gdyż na się jako chameleon rozmaite barwy, tak on stroje bierze: abo mu tym ubóstwo i niedostatek jakiś przypisują. Jako drugi napisał: że Polak jest wendetą wszystkiego świata.

„Muzyka, maskary, tryumfy, turnieje, sług niepotrzebnych rotę, co jedni jedzą, a piją, a za to im płacą; im kto lepiej za zdrowie pańskie pije, tem więcej wy-

---

<sup>1)</sup> Wyrażenie wzięte z Reja: *Żywot człowieka poczciwego*. Ks. III, roz. 6.

sługuje. Że też tak napisano: *in Polonia nihil aliud vivere, quam bibere*: aż i w stajniach nalewaj wina i małmaziej dostatek“.

Mania prawowania się o byle co, tak w Polsce rozkrzewiona, nasuwa satyrykowi bardzo racjonalne uwagi i skłania do przestrogi „że o skórę wileżą jeden pan kilka wsi utracił“.

Też uwagi czyni Widawski nad obyczajem trzymania pocztu licznych darmożjadów po dworzech szlacheckich.

„Stem złotych jedna osoba lekko żyjąc w Niemczech, albo we Włoszech, nie wychowa się na rok, a w Polsce, gdzie równy szlacheć kilkanaście sług chowa, co tu gęba do roku każdego kosztuje! A co gorszego, chędoży je, nosi, jak samego siebie, barwy odmienne, od pół szkarłacia, jedwabiu, z Panem równo do stołu,

do misy, w karty, w kostki, do pełnej, do woza, do koni, co upiwszy się, Panu nadaje, czasem z nim i za łeb idzie, mówiąc: żem tak dobry jako i ty! Roboty, okrom pomienionych, nie wspominaj, bo nadaje i odstanie. A tak się sami jedzą i trawią. A to wszystko jest niewola, która z wolnością walczy. Bo ten, kto tego używa, zwłaszcza owych hejduków z pukawkami, abo chce, aby się go bano, abo się sam boi...

„Cycero nie chciał w senacie wotować, że kogoś z bronią ujrzał. Siekiery, a różgi jedno przed magistratem noszono, a teraz, kto się nie przypasze do szyny żelaza, albo z czekany, półhakami nie chodzi, to baba! Co się zwierzchności na on czas tylko godziło, to się teraz wszystkim godzi“.

Zbytki niewiast zgrozą przejmują satyryka.

„A jako to szacować, co jedną biało-główkę, z którąby dobra mucha uleciała, w karocy sześć woźników tureckich, każdy po kilkuset i po tysiącu złotych kupiony, wozi? Boże! Teć to konie niepotrzebnie koronę jedzą, bo potrzebują: *pabulum*, *famulum*, *stabulum* (strawy, chłopca i stajni). Ażaż to, dla Boga, nie głupstwo, abo raczej nie szaleństwo, za konia, który może tej godziny zdechnąć, dać tysiąc złotych! A za człowieka, stworzenie Boże, w obro-nie rzekomo, sześćdziesiąt grzywien! Kato powiedział: że to Królestwo, albo Rzplta, nie może długo stać, gdzie droższa ryba, niż wół: a cóżby tu rzekł, gdyby tych czasów doczekał, w których droższa szkapa

niż człowiek, stworzenie Boże, co na koniu jeździ i tą bestyą rządzi?

„A do owych pocztów, już nie w jadamaszki, ale w atłasy, jaxamity ubrane, co rzeczymy? Owe orszaki sług i procesye długie, co przed nią i za nią chodzą! Żażby to nie lepiej na potrzebę Rzpltej wyprawić na owych koniach, co w karo-cach chodzą?

„Do tejsze też fary utrat przynależą różne uczty, albo biesiady, na których biesiada. Bankiety, zbytnie stroje, szaty, wesela, chrzciny, pogrzebów pompy, mor, koni ubranych, osób, giermków, herbów haftowanych i innych zabobonów. Ażaż te rzeczy zbawiają! Ażaż z tą pychą do nieba idą: Sami się sądzymy, mówiąc: Pomoże mu to, by umarłemu kadzidło!

„Cóż po kilkadziesiąt półmiskach, gdy

na jednej dosyć, abo gdy sześć sług lekki będą nosić? że się woźnice popijają, węgły, ściany popługawią, pany poprzewracają, ręce, nogi, połamią? Teć to zbytki pany wprawiwszy w długi, obracają w sługi sług swych, gdy w ich wioskach rozkazują.

„Nuż i owe tytuły: *Jasności, Miłosciwiania!* Jedno jeden nad nami Najjaśniejszy, co nam wszystkim świeci i miłościwy, bo nam grzechy odpuszcza, gdy je wyznamy, z onych poprzestaniem, a my — proch, ziemia, glina, czyn rąk jego! Nie drogimi tedy trunkami, abo półmiskami, mamy zachowania dostępować, ale dobremi, a cnemi sprawami. Ale się gniewać, albo bić o niespełnienie, albo tłuc sklenice o łeb, więcej szalonemu należy, a nie swobodnemu. Cóż to za gościnność, uczta, dobrowola? Ba! raczej — niewola . . .



## V.

Przechodzi następnie Widawski do zbytku w budowaniu pałaców „na którechmy wyrąbili bory, lasy, że nie stanie nam dREW na opalenie ich <sup>1)</sup>). Jeden Włoch do dworu pięknie zbudowanego przyszedłszy, powiedział: że nie widział piękniejszego stosu dREW, ogniowi ułożonego, a drugi na ścianie napisał: *Luxo nimio privato odio, bello intestino, perit Ungaria; caveat vicina Polonia, in qua non virtute, sed luxu certatur.*

---

<sup>1)</sup> Myśl i wyrażenie z *Satyra*.

(Zbytkiem, nienawiścią, wojną domową, zginęły Węgry; niech się strzeże sąsiednia Polska, gdzie, nie enotą, ale zbytkiem walczą).

„Do Turek za safiany, a kobierce, każdy rok złoty świeży we złocie wynoszą, a co w talerach za inne zbytki i stroje pogańskie! Zaż to nie utrata — safian na błoto?

„A w tym też szkoda nie mała dzieje się w Rzpltej, iż na pijaństwo — kary, abo prawa nie masz, oprócz Pisma Świętego. Turcy nas sądzić będą, bo tam pijanice kijem w podeszwy biją, błotem, ogórki kamionują.

„Mężobójstwo przy tym nie mniejszą skazą Rzpltej, zwłaszcza owe, co z ruśnie się dzieją. Lada chłopiec tak najlepszego męża zabije, a tych naszych czasów więcej ich z nich, za jeden rok zabijają, niż przed

tym za dziesięć. Gdyby wręcz się bili, wždyby mógł rozwadzić, ale kule nie tylko zawściągnąć, ale okiem dojrzeć nie mogę. Zaraz z pukiem do piekła dusza bieży. Nie mógł nic djabeł prędszego na zginienie duszy wynaleść, jako te rusznice, z którymi aby nie schodzono, nie masz tego zjazdu, miejsca, roków, abo targu, gdzieby kurka nie krzesano, proch nie śmierdział, a gdy się błysnie, a trzaśnie, ali stworzenie Boże jako było ginie“.

Dziwi się satyryk, „że na cudzołożniki“ prawa w statutach nie znajduje. „Jakie się zdrady w małżeństwie dzieją i złodziejstwa w dobrach własnego potomka! „A takhym tym inwantom radził oczy wyłupić, którzy te słabe naczynia. białejgłowy (*mulier enim quasi mollis aër dicitur!*) psują i zwodzą! A takowe dryganty co około cudzych żon

rżają powalaszyc, a takiej, coby się prze-  
niewierzyła, nos i uszy oberznąć, albo je  
pryskować! (?) Bo jeśli złodzieja leda czem  
zarzuciwszy, wolno obwiesić, choć drugi  
złodziej z potrzeby ukradnie, a czemużby  
tych nie karać, co rozmyślnie w cudze  
strzemię wstępują, ludzkie domy wyżerają,  
w potomstwie zdradzają!“

---



## VI.

Wadliwy stan sądownictwa, przewłoka w prowadzeniu spraw, pieniactwo nieopatrzone i formalistyka, nie uszły baczного wzroku Widawskiego. Reformę widzi on w „sowitzem obieraniu deputatów z każdego województwa, tak, aby jedne sprawy mogły być sądzonemi od razu w Piotrkowie, lub Lublinie, „nie zatrzymywając sprawiedliwości ludziom“.

Również niepotrzebne peregrynacje do Włoch, skąd ludziska przywożą tylko ze-

psuty żołądek i pustą kieszeń (*debilem stomachum et vacuum crumenam*), budzą oburzenie w satyryku.

Radzi on wzmocnić obronę granic od Tatarów „strażniki na nie mieć, zamki na granicach i szlakach budować, aby nie mogli do nas przechodzić. Bo jeśli Turkowi nie hołdujem, a czemu byśmy jego sługom mieli?

„Zła też moneta djabłu się godzi, przeto nasza jedno doma idzie, extra Regnum nicby za nie nie kupił. A u nas cudzoziemskiej dosyć. Ażaż nie lepiej mniejszą bić, a wszystko srebrną, aniż srebro na posrebrzanie miedzi psować“.

W uwagach Widawskiego przebija rozum statysty i ekonomisty. Widzi on n. p. dobrą stronę w jedności monetarnej. „Dobrzeby było, aby jednaka we wszystkich

państwach była moneta, wagą i kosztem; abowiem miedź na nie się dobrego nie przyda. I to też nie pomalū szkodzi Rzpltej naszej, że my nasze rzeczy cudzoziemcom wozimy, z nimi się prawie modląc, a oni do nas nie jeżdżą <sup>1)</sup>. Do nich jeżdżąc, sami się ubożymy, a one bogacimy, dając cła, mostowe, grobelne, brukowe, targowe, płacąc w gospodach, jako każą i przecie im musimy sprzedać, jako chcą, bo się na nas zmawiają i nie kupi jeden na drugiego drożej. A gdy nie chce im tak dać, jako oni chcą, to z miast wyganiają. Czynią też i to, gdy której rzeczy się im przeberze, z przodku zdrożą (najprzód dają dobrą cenę?) dobrze kupując, a gdy ludzie tego narzucają — jako chcą, tak płacą i swego

---

<sup>1)</sup> Jest to myśl Klonowicza we *Flisie*.

powetują i nas o szkodę przyprawują, bo nie lża (nie można) nazad wieść. A to czynią tak ze strony zboża, jako wołów, skopów i innych towarów... Lepiej tedy, aby oni do nas, niż my do nich jeździli, bo i towary tam zostawimy i pieniądze, co za nie weźmiemy. Nie darmo też o nas rymują: *Wrocław, co przywieziesz — to ostaw.* Także i *Gdańsk — koniec Państw.* A gdyby oni do nas jeździli, abo swe faktory stali, byłyby miasteczka bogatsze, budowniejsze. Ale my źle się z nimi frymarczymy. My onym woły tłuste, konie dobre, łoje, skóry, mięsa, zboża na wybór. A oni nam — okulary, dromie, dzwonki, zwierciadła, szklanki malowane, szmelce...“

Po wielu innych jeszcze trafnych uwagach, nad potrzebą odmiany tego, co się upływem lat zakorzeniło w obyczajach na-

rodu, zwraca się satyryk do założenia pierwotnego swego pamfletu i pisze:

„Ale rzecze kto: „nierządem Polska stoi. Lepiej, żeby rządem stała i mocniejby stała i bogatszą była“, a choć inni narzekają nad tą klęską „przecie jej żaden zabiegać nie chce, choć dla tego Pan Bóg człowieka prostym stworzył i twarzą ku niebu obrócił, aby w niebo, a nie na brzuch patrzył, a rozumem, który jest wizerunkiem Bożym, affekty swe moderował“.

---



## VII.

Cheąc dać przykładowym sposobem obraz najnaglejszych potrzeb ku ukróceniu nadużyć obyczajowych, załącza Widawski pod oddzielnym tytułem praw przeciw zbytkom (*Leges sumptuariae*), uniwersał poborowy na zbytki, utraty i niepotrzebne wystawy, i wylicza w nich często arcydowcipnie i z odcieniem ironii, najprzód zakoznienione wady, a następnie kary pieniężne, jakimi grzeszników powściągać by należało.

Radzi tedy, „aby żadnego pijanicę do rady nie brano, ani mu urzędu dawano, gdyż Solon, filozof mądry, twórca praw, jawnym to dekretem ustanowił, mówiąc: bliźniego pijanemu sądzić grzech“.

Mniejszą karą dotykać tego, kto się opija winem, małmazyą; większą zaś, gdy gorzałką, „bo panom senatorom sromota pić gorzałki“. Najmniejsza kara winna spotykać tych, co się upijają piwem.

„Szlachta nie mają się też upijać; tylko co majątniejszy i to, któryby się zbyt upił, upiwszy się, „zwadę czynił“, „żonę stłókł“, winien zapłacić pobór, t. j. podatek.

„Ci zaś, co kmieci nie mają, a pieniędzy do tego, niechaj wina, ani małmazyi nie piją, chyba kiedy przy wielkich paniech pożywić się mogą.

„Mieszczaninom i rzemieślnikom wino ma być sprzedawane kwarta po groszy sześćdziesiąt, małmazya po groszy ośmdziesiąt; tedy za te pieniądze, coby miał garniec wina, albo małmazyi kupić, tedy będzie wolał beczkę piwa, gdyż się nią dłużej kontentować samodziesiąt, niżeli garcem wina samotrzeć może i rychlej się takiemu rzemiosłu robić zechce, aniżeli małmazyi pić, albo muszkateli.

„Cudzoziemskie piwa wrocławskie mają być hamowane“.

„Doktorom ustawa niech nie będzie, bo ci moderate żyją, a inszych rzeczy nie trąbiąc, cicho odprawują“.

Wylicza następnie Widawski zbytki podczas biesiad sprawowane i proponuje pobór „od każdego stołu dwiema obrusami nakrytego, na którym serwety po włosku

złożono, od każdego tortu, od ciast formowanych, móździerzowanych, garnuszkowych i fumetowych, od kijowego kołacza, od bijanek, od masła formowanego z migdały, od galarety, od głowy cukru, od pączków, od pasztetów, od limoniej, gdyż niezła pieczenia z ogórki, albo z cebulą, a konew piwa, aż się oczy stulą, lepsza, niż owe sapy, bo sapią, od zapalanej kasze z małmazją, bo tatarczana dobra, czego i dzieci poświadcniają; od parmezanu, bo większa gomółka za grosz, aniż parmezanu za dwańście; od każdej rzeczy niepotrzebnej, od wódki perfumowanej, od haftowanych ręczników, co jeden sześć sług trzymają, od natrząsania gmachów zioły, i kadzenia, perfumowania, bo jałowiec dobry i dębnik od powietrza“.

„Nie ma się tego człowiek napierać, co

się mu doma nie rodzi, ale na tym trzeba przestawać, co dom ma“.

„A tak tym zbyt kom zabiegając, które nie jednemu ojczyzny naruszyły, bo utratnik nie może się obaczyć, kiedy kilka kmiotków, albo wiosek utraci, aż kiedy już nie ma... Zkąd roście conscientia dziwna w głowie, na nic mu się chce, wielkiej zawady użyje, bo troski zawsze pełen, fantazyja rozdwojona, postawa płocha, twarz kwaśna, a ono dłużnicy (ma być: wierzyciele) i rzemieślnicy nachodzą, naglądając na Pana. Przystęp trudny, bo Pan na pokój, a jeśli się który na pokój wemknie, to Pan sługom nałaje, chłopięta pobije, a jemu kijem pogrozi“.

---



### VIII.

Następuje szereg nadużyć zbytkowych „ze strony niepotrzebnych strojów i utraty srebra stołowego“.

Gromi Widawski tych, co zamiast cynowych i drewnianych talerzy, przekładają srebro „byle rzeczono: masz!“ Uważa za niepotrzebny zbytek: opony z jedwabiu ze złotem, w jedwab od twarzy haftowane, wezgłowia axamitne, hatłasowe, złotogłowe ze srebrnymi gałkami, z kosztownymi kutasami, gdyż dobre zamszowe, albo skó-

rzane, kolebki szarłatową kołdrą nakryte, karety frędzlą złotą, axamitem podszyte, gdyż owej nie potrzeba. Aż zaż zła bez axamitu sama skóra, kiedy cała wody nie dopuści? <sup>1)</sup>)

Zbytkowemi są: woźniki poszóstne, gdy na sześci koniach o jednym woźnicy nie mogą jeździć; rzędy aksamitne, siodła srebrem oprawne ze srebrnymi strzemionami, szable, koncerze, pałasze, korbacze, buławy, czekany i insze armaty, srebrem i pozłotą oprawne, gdy się żelazem bez srebra, kto umie, bronić może“.

Zamiast srebrnych zegarków, radzi satyryk używać „mosiądzowych“.

Ileż ironii mieści się w wyliczeniu zbytków w „szatach białogłowskich“!

---

<sup>1)</sup> Myśl z *Sejmu niewieściego* M. Bielskiego.

Choć się nie uczą w szkole,  
Przecie wywiadą w pole.

prawi zgryzliwie pan Piotr i nakłada kary od każdej jedwabnej sukni, za którą się ogon wlecze, od ormeńta (obermantel) kunami podszytego, od płaszczyka, u którego przodki sobolowe, a pod wszystkim nie masz nic... gdyżby lepiej baranami pod cały kupić dla ciepła, niżeli wyłogami tylko świat grzać, a grzbiet zieść... od szaty otworzystej, od obróży na szyi. abo bindy ze złotemi koronami aż za kolana... Co mi po niej! Od dyndela u ucha i od noszenia by żaba, od piórka za biretkiem, od trefienia się, by sowa, od tych, co się kudlą z francuzka...

Ma zapłacić podatek ta, „która się w karocy po mieście sześciami koni wozi, a procesya sług przed nią idzie“ i ta,

„której djabeł pomaga, by jej trepely (?) w szyję wrosły“.

„A iż męże swe namawiają i wszystko w nocy proszą, aby wyżej siadały, żeby się o urzędy jakie starali i nawet je kupowali, tedy się o to starać. aby tych urzędów przyczyniono dla nich, aby do jednego urzędu było dziesięć urzędników. A iżby żadnego darmo nie dawano, przynajmniej od tysiąca czerwonych złotych, tedy się im tym dogodzi“.

Mają płacić białogłowy podatek zbytkowy „od pierścienia, co nim skazuje, od bramek kosztownym kształtem robionych z pontalami, od przyprawionych włosów trupich, od pokaszczonej (?) twarzy, od kraszonych brwi, umieżgania, od strojenia postawy, od maneli, od patynek haftowanych, od pontalów na szacie i na birecie,

od korony, od ubioru po hiszpańsku, po włosku i po francusku, od przepalanych wódek do umywania lica, gdyż się prostą dobrze i oczom zdrowo umywać, od kamienia każdego drogiego, od koszuli z tkaniczkami marszczonemi, od pończoszek czerwonych, od namiotów do łoża, od kobierca na ziemi u łoża posłanego, gdyż dobra rogoża i tańsza“.

Podlega karze ta, „która sobie trefieniem czoło wyciąga, żeby za młodą uszła, bo to młodzieńce zdradza, gdy się uwałknie“, „która nogę wyciąga, które używają dragantu, kanfory, mastyki; ta, za którą idą dziewczki w czamuletach tureckich“.

„Wszystkie, które od Ewy matki starodawny zwyczaj w Piśmie Św. zalecony, kądział i pracę z domu wyгнаły, kołowrotki, aby je nie przedły, pod dach pokryły.

a strojów się zbytnich jęły, na które każą z Hollandyej forboty, korony, płótna szwabskie, rąbki koleńskie umyślnie wozić, a to wszystko tam białogłowy robią... taka każda niegodna za mąż iść, ani się stroić, kiedy nie umie robić. Od takiej ma dać matka na miesiąc po dwanaście złotych, a Panu Bogu surowy rachunek, że jej nie uczy robić, ale stroić“.

---



## IX.

Niemniej surowym okazuje się Widawski i dla rodu męskiego, który, ile widać z uniwersału poborowego, grzeszył, za czasów naszego satyryka, wadami, nieodpowiedniemi rycerskiemu powołaniu. Odzywa się też w przestroгах Widawskiego nuta ironii przeciw „młodzieńcom, którzy są szpetni, a — miłośni, którzy się z rejestru zalecają i na pamięć, którzy tańczują, nie umiejąc“.

Dowcipnie gromi satyryk panów, co

orkiestry u siebie dla własnej przyjemności trzymają i nakłada podatek na nich od każdego instrumentu: od regatu, od pużana, od skrzypic, od sztortu, co heczy, od cytry“.

„Dudę wolno będzie chować, chociaż zje za dwoje psów, a wypije za dziesięć wołów, bo mniejszym go mytem odprawi, niż organistę, bo dudy nie tak drogie, gdy kozieł po śmierci wrzeszczy, a woźnica go drażni“.

Powstaje Widawski przeciw Nemrodom, co dla myślistwa „się nędzą“, bo lepiej tym kilkanaście wieprzów chować i karmić, niż sobie grzbiet, niepewną zwierzynę goniąc, ocierać, w harabie szyję nałomić, swędu wachać, gdyż nie tak zwierzyny potrzeba, jako taniego chleba“.

Ma płacić podatek „pan, który w łań-

cuchu złotym, a w jedwabnych szatach chodzi, a słudzy za nim“, „żonaty, który ma siłę dzieci, a brodę często goli“, co kręci węża, a w zwierciadle się przegląda, co za kobiercami siada, a folwarku nie ma, kto „na jeden folwark więcej sług nad dwu, a trzeciego chłopca chowa, nie będąc urzędnikiem, abo dygnitarzem jakim, kto się pozywa „chcąc wygrać kaczora, a musi stracić gąsiora“, „rzemieślnik, który w safianach chodzi. Trzeba je z nich zzuć, a kijem podeszwy podbić, niech się chłop nie czyni szlachcicem“. „Kostera każdy, bo ten prędko zarobek miewa“. „Który wschodek od brzucha do gęby z guzów uczyni, albo drabinkę z petlic, albo nogi pontwały, abo czapragi okuje, by maślanką popluskał, jako Caligula.

„A gdyby chłop szlachcica w karczmie

zbił, od basarunku ma być wolen, a jeszcze on, ubity szlachcie, ma dać winę onemu, co go ubił, za każdą ranę, według statutu, że pił w karczmie i dał się ubić. Niech się szlachectwo nie mięsza z chłopstwem“.

Radzi Widawski pociągać do poboru: „mądrego bez dobrych uczynków i nieprzykładnego, starego nie nabożnego, młodego nie posłusznego, bogatego nie jałmużnika, białogłową nie uczciwą, młodzieńca nie wstydliwego, Pana nie pobożnego, Chrześcianina swarliwego, ubogiego pysznego, sędziego nie sprawiedliwego“.

---



## X.

Piotr Widawski nie stoi odosobniony w szeregu pisarzy schyłku XVI wieku, którzy, w epoce największego rozkwitu publicznego i prywatnego życia Rzpltej, pragnęli reformy obyczajów swoich współziomków.

Na równi z Modrzewskim, Warszewickim, Górnickim, Petrycem, Witkowskim i Słupskim, podnosi on głos, niezaprawiony żółcią rozgoryczenia, przeciw złej gospodarce, rozrzutności i zbytkom, coraz bar-

dziej w społeczeństwie krzewionym i na wzór pojmującego dobrze rolę swoją satyryka: *ridendo castigare mores*, w śmiech obraca wszelkie zdrożności, na które „w statuciech rady nie masz“.

Wiedział dobrze Widawski, że rady jego, aby podatkami okładać bardziej rażące wady obyczajowe, nie mogą być i nie będą urzeczywistnione, lecz ustosunkowanie owych kar, często w sposób dowcipny i komiczny projektowane, miało na celu tem dobitniejsze zobrazowanie wszystkich tych wad i szukanie lekarstwa dla ich wytępienia.

Na rok przed ukazaniem się *Exorbitancji* Widawskiego, wyszedł w Krakowie przekład *Oekonomiki* Aristotelesowej, t. j. rządu domowego, dokonany przez Sebastjana Petrycego. W *Przestrobach*, zamieszczonych przez tego pisarza, a będących komentarzem

do przekładu ekonomiki Aristotelesowej, znajdujemy nieledwie też same spostrzeżenia nad potrzebą reformy ładu domowego Polaków, jakie nam w swoim pamphlecie pozostawił Widawski.

Kto wie, czy dzieło Petrycego nie było zachętą dla naszego satyryka do podjęcia tegoż samego tematu?

Jakkolwiek bądź, takie jednozgodne nawoływania do poprawy obyczajów, jakie spotykamy w literaturze XVI wieku, dowodząc z jednej strony nadpsucia się maszyny społecznej, z drugiej, przekonywają, że byli ludzie, którzy widzieli zło, odczuwali jego następstwa i pragnęli być swoim ziomkom przewodnikami na drodze do poprawy.

Oprócz strony etycznej przestroóg, mogących mieć zastosowanie w każdym wieku i w każdej miejscowości, satyry pisarzy

polских XVI w. mają dla historyka obyczajów ówczesnej epoki, a nawet i dla socjologa, znaczenie zwierciadła, w którym się wiernie obraz społeczeństwa odbija.

Niepoślednią również zaletą satyry Widawskiego, jest jego żywy, barwny i poprawny język, którego rubaszność i jowialność tem przyjemniejsze sprawiają na czytelniku dzisiejszym wrażenie, że znając czyisty charakter „pocziwego“ Pana Piotra, poświadczony przez koło rycerstwa, na sejmie z r. 1569, możemy do słów jego i przestróg niezachwiane niezem żywić zaufanie.

Głośniejszym nierównie, nietylko od Widawskiego, ale od wszystkich pisarzy satyrycznych polskich, był Krzysztof Opaliński. Satyry jego po raz pierwszy ukazały się w roku 1650, t. j. w rok, po ponowionem wydaniu *Exorbitancyj* Widawskiego, o zmie-

nionym tytule: *Lekarstwa na uzdrowienie Rzpltej*. Pod względem dosadności wyrażen, bogactwa przykładów, siły języka i doniosłości obyczajowej satyr Opalińskiego, żadne z dzieł tejże samej kategorii, porównania z niemi wytrzymać nie może. A jednak, czytając Opalińskiego, znając demoniczny charakter pisarza, odczuwamy niesmak, w obec przekonania, że jeśli kto, to zaprawdę Opaliński, nie miał prawa sądzić surowo obyczajów swego społeczeństwa...

Satyryk musi być osobistością czystą i niepokalaną. Kto wytyka błędy, sam cnotliwym być musi.

Jeśli tych zalet nie posiada — można go cenić jako dzielnego pisarza i stylistę, ale wiary do słów jego przywiązywać niepodobna. Tem miłszem dla nas jest przeświadczenie, że takiej opinii o poczciwym

Panu Piotrze wydać nie można; a jeśli po upływie pół wieku prawie, od chwili pierwszego wydania *Exorbitancyj*, uznaną została potrzeba ponowienia przestroóg Widawskiego; jeśli i satyry Opalińskiego sześćkrotnie w wieku XVII powtórzone w druku zostały, to fakt ten, tem silniejszym jest dowodem, że obyczaje społeczne połowy XVII wieku, znalazły się znowu na pochyłości, i że należało szukać znowu dźwigni, dla wstrzymania społeczeństwa na drodze do upadku.

---

WSPOMNIENIA.



SYLWETKI LITERACKIE

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.



Pamięci

Alexandra Walickiego

niniejsze luźne notatki, jako  
 przyczynek do historyi współ-  
czesnego dziennikarstwa war-  
szawskiego,

poświęcam.



**W** zapomnianej już dzisiaj, lecz, swego czasu, rozgłosnej *Historyi literatury*, nieodżałowany Julian Bartoszewicz pochwycił trafnie i z talentem odtworzył jedną przelotną chwilę, z dziejów umysłowego ruchu społeczeństwa warszawskiego doby nowszej; gdy gronko pisarzy młodych, rwąc się do życia i do rozgłosu, skupiło się było, w czwartym dziesiątku bieżącego stulecia, około niepozornego organu literackiego

warszawskiego i zaczęło budzić uspięone siły rówieśników do działania i do twórczości.

Po nieżyjącym już dziś *Przeglądzie* Skimborowicza pozostało wspomnienie owego hałaśliwego grona, do którego należeli: Roman Zmorski, Antoni Czajkowski, Włodzimierz Wolski, Bohdan Dziekoński, Jan Majorkiewicz, Teofil Lenartowicz, Alexander Niewiarowski, Wacław Szymanowski, Sierpiński, Józef Kenig, Filleborn i Norwidowie.

Tworzyli oni zamknięte kółko epigonów romantyzmu nowoczesnego.

„Wszystcy wrzeli życiem, na przesąd żadnego nie mieli względu. Chodzili umyślnie brudno i ubogo. Zgiełk wielki robili, nawet na ulicach. . .“

Pozostawili po sobie efemerydy, w rodzaju: „*Nadwiślanina*“ i „*Jaskółki*“.

Wielu z nich wzniosło się następnie talentem ponad poziomy szarej powszechności.

Inni, w czasach zawieruchy, rozbiegli się po szerokim świecie, zostawiwszy po sobie piękne wzory twórczości, w dziełach, zarejestrowanych zaszczytnie na kartach dziejów literatury swojskiej.

Szczupła garstka z pomiędzy nich dożywa jeszcze w kraju i na obczyźnie resztek niezaprzeczanej swej ongi popularności.

\* \* \*

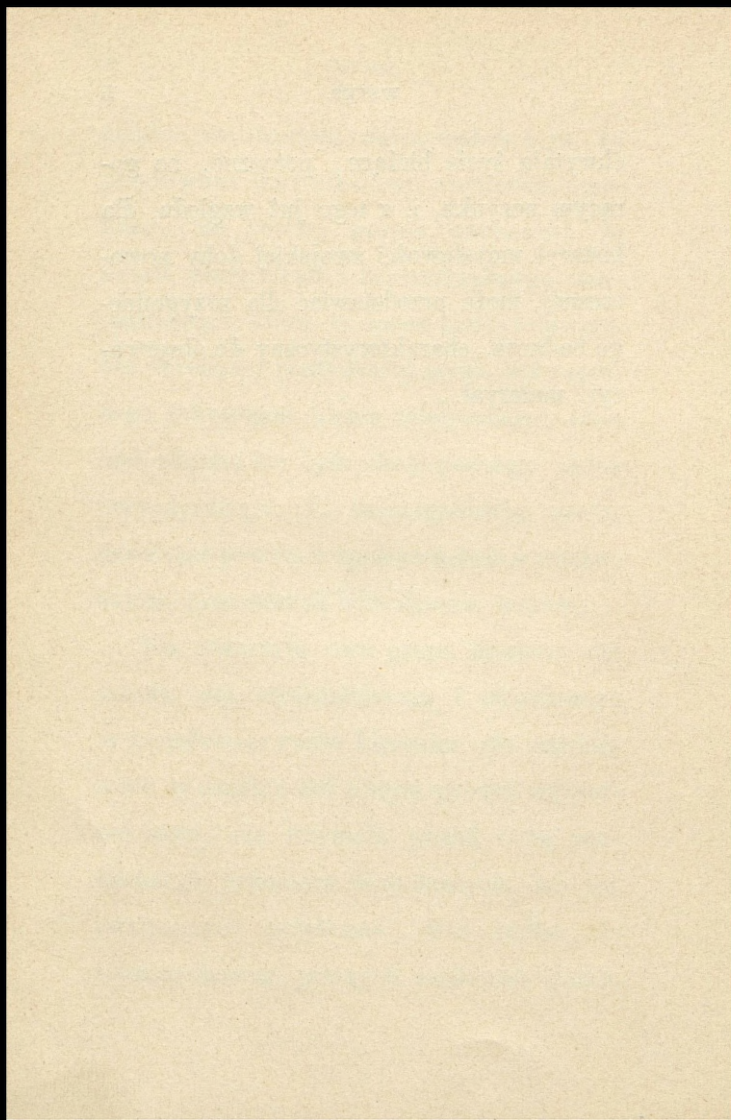
W przeglądzie wspomnień o owych ludziach i czasach, do których, jako jeszcze nie stary i z zawodu nie dziennikarz,

należać nie mogłem, zatrzymałem i ja, za przykładem Bartoszewicza, spojrzenie przelotne, na pewnej grupie osobistości ze świata literackiego i dziennikarskiego warszawskiego, która, w epoce niezbyt dawnej, bez określonej przewodniej myśli, bez wspólnego jakowegoś ideału estetycznego, również skupiła się była około pewnego pisma peryodycznego, i, zamaszystością swoją, przez czas pewien, w społeczeństwie warszawskim, niepomierną wywoływała wrzawę.

Nie stworzyła owa grupa literatów ani szkoły, ani wydatniejszego i określonego w umysłowym ruchu kierunku, nie stawiała sobie w działalności swojej pewnej wytycznej mety, nie trzymała ponad sobą znamiennego sztandaru filozoficznych, lub też estetycznych przekonań, lecz będąc odzwierciedleniem pewnych umiłowań chwili,

chwytala życie bieżące, potoczne, na gorącym uczynku, i, z tego już względu, dla historyi umysłowości swojskiej doby nowoczesnej, może przedstawiać dla przygodnego badacza, charakterystyczny do obserwacji, materiał. . .

---





## I.

Agonia Kurjera Warszawskiego. — Dmuszewski i jego następcy. — Karol Kucz. — Narodziny Kurjera Codziennego. — Pani Zabłocka. — Zaborowski. — Odyniec. — Reklama na scenie. — Codzienny górą! — Miron. — Układ Szymanowskiego z Gebethnerem i Wolfem. — Chęciński. — Alexander Walicki.

**S**kromna oficynka w dziedzińcu domu pani Zabłockiej, córki Ludwika Dmuszewskiego, przy Placu Teatralnym w Warszawie, do dziś dnia jeszcze stojąca, z rozłożystą akacją przed oknami i oszkloną werandą u drzwi wchodowych, stanowiła w końcu szóstego dziesiątka bieżącego wieku punkt zborny dla nielicznej garstki rozpoczynają-

cych dopiero zawód dziennikarski pisarzy, którzy umyślili, *viribus unitis*, dźwignąć do nowego życia, zamierający podówczas na galopujące suchoty, *Kurjer Warszawski* i zapomnianą nieco przywrócić mu popularność.

Nie zamierzam tu być historyografem w porządku chronologicznym owego organu brukowego. Nie sięgam zaczątków owego pisma, które, założone w zaraniu trzeciego lat dziesiątka naszego wieku przez Brunona hr. Kicińskiego, a rozwinięte przez Dmuszewskiego, przetrwało lat kilkadziesiąt, pod sterem, mniej, lub więcej uzdolnionych redaktorów, z pomiędzy których, do roku 1863, był Karol Kucz najpopularniejszym i, z natury swego dziennikarskiego uzdolnienia, do prowadzenia owego pisemka najodpowiedniejszym.

Zatrzymuję się na epoce chylenia się ku upadkowi owego, ongi nader poczytnego, organu brukowego, co nastąpiło z chwilą założenia przez Kucza na własną rękę (w r. 1866) rywalizującego z *Warszawskim Kurjera*, tak zwanego — *Codziennego*.

Powstanie owego sobowtóra na rynku dziennikarskim warszawskim nastąpiło w okolicznościach wyjątkowych i dosyć charakterystycznych.

Gdy wszystkim i wszystkiemu schlebający, wszędzie mile widziany, względnie nawet dosyć popularny Kucz, ongi zręczny stylista i rymopis, uniwersalny toaściarz, którego kieliszkowe rymy, w rodzaju:

A więc Panowie! bez czasy stratu  
Pijmy zdrowie Magistratu!

obiegały miasto, wyjechał w r. 1863 na

czasowy pobyt do Cesarstwa, osieroconym sterem *Kurjera Warszawskiego* kierowały przez czas pewien sfery teatralne, przy współdziale sędziwego Stanisława Bogusławskiego, autora *Starej Romantyczki*, Jana Chęcińskiego i ostatniego epigona klasycyzmu warszawskiego z epoki Mickiewicza — Dmochowskiego.

Powróciwszy do Warszawy, zgłosił się Kucz do właścicielki *Kurjera*, pani Zabłockiej, z propozycją, ponownego objęcia redaktorstwa, lecz pod warunkiem, aby mu wypłacaną poprzednio w kwocie rsr. 600 pensję roczną, podwyższono do rsr. 900; na co się pani Zabłocka, z uwagi na mierne dochody z prenumeraty, nie zgodziła.

Rozgniewany Kucz, zebrawszy resztki dawnej swej popularności i nieco grosiwa

od życzliwych, założył pod własną firmą pismo brukowe: *Kurjer Codzienny* i całą siłą pary puścił się w zawody, by zdystansować dawnego swego pupilka.

Ryzykowny ów, jak na ówczesne stosunki, krok, uwieńczonym został nadspodziewanem powodzeniem. . .

Jak ów kometa *Biela*, rozszczepiony na dwie gwiazdy bliźniacze, powoli zatracał blask swój pierwotny i przeniósł go na towarzysza-przybłądę, tak też i *Kurjer Warszawski*, z chwilą ukazania się *Codziennego*, zaczął zwolna ujawniać symptomata agonii, grożące blizką a niechybną śmiercią. . .

Złożyło się na to wiele przyczyn postronnych: zanik energii w kierownikach, do gazeciarskiego zawodu nie uzdolnionych (Zygmunt Zaborowski, Antoni Edward

Odyniec...), przede wszystkim wszakże forsowne działanie przyjaciół *Codziennego*, by zapewnić nowemu Kurjerkowi poczytność, w sferach towarzystwa warszawskiego.

Reklamowanie *Codziennego* stało się hasłem zwolenników i współbiesiadników Kucza i przybrało nawet jaskrawe formy publicznego znęcania się nad dogorywającym rywalem...

Raz, podczas przedstawienia farsy: *Ulicznik warszawski*, na scenie *Rozmaitości*, aktor Damse zagroził ulicznikowi, że psie jego figle ogłosi w Kurjerze...

— A w którym? — pytał ulicznik.

— Naturalnie, że w *Codziennym* — brzmiała z góry ukartowana odpowiedź — bo *Warszawskiego* obecnie już i pies nie czyta!..

W rzeczy samej, pismo Kucza doszło

do poważnej cyfry 6.000 prenumeratów, a *Warszawski* — „zjechał“, mówiąc żargonem miejscowym, do skromniutkiej cyferki 327 płaćników. . .

Wówczas to, młody i sympatyczny, półdówezas zaledwie z lirycznych strofek drukowanych w tygodniakach, znany pisarz, Alexander Michaux (Miron) zgłosił się do pani Zabłockiej z propozycją, wydzierżawienia na lat dziesięć *Kurjera Warszawskiego*.

Zabłocka, nie wiele mając do stracenia, chęćnie się na tę propozycję zgodziła. Michaux udał się do Wacława Szymanowskiego, ten zaś, do wydawców: Gebethnera i Wolffa i po nie długich rokowaniach stanął między owem konsorecyum a panią Zabłocką układ, mocą którego, oddanym został *Kurjer* w dzierżawę dziesięć-

cioletnią za rsr. 1.500 rocznie, po upływie zaś tego czasu biegli oznaczyć mieli wysokość tenuty dzierżawnej.

Wacław Szymanowski przyjął na siebie redaktorstwo *Kurjera* za rsr. 900 rocznie, Gebethner i Wolff obowiązali się dostarczać papieru i wyjednać dla pisma kredyt w drukarni. Osiągniętym zyskiem dzielić się mieli wspólnicy stosunkowo; przyczem wszakże zastrzeżono, że stary Bogusławski pobierać będzie i nadal rsr. 600 rocznie.

Do redakcyi nowej, pod sterem Szymanowskiego, zawiązanej w r. 1868, wstąpili w charakterze współpracowników, w pierwszych latach: Michaux, jako sprawozdawca teatralny i artystyczny, Feliks Szober do wiadomości teatralnych, Urban Sobolewski do wiadomości prowincjonalnych; do polityki — Stanisław Krzemiński, do repor-

teryi miejskiej — Feliks Fryze, do sprawozdań sądowych — Kazimierz Łuniewski, do artykułików wstępnych społecznych — Kazimierz Zalewski; po powrocie zaś z Cesarstwa — Władysław Bogusławski, jako współtowarzysz Stanisława Krzemińskiego. Z dawniejszych współpracowników utrzymali się w nowej redakcyi: Jan Chęciński, Alexander Walicki, Heppen. Przystąpili nadto nieco później do współpracownictwa: Bliziński, Gomulicki, Br. Reichman, Gawalewicz, Czapelski, Prus, Chodorowicz i Filipowski.

Zmiana gabinetowa w rządach *Kurjera* znamionowała ważny, w kierunku dotychczasowym jego redakcyi, przełom.

Schlebiający wszystkiemu, co „warszawskie“, organ, w którym, niedawno jeszcze temu, urzędnik sądowy, Janczewski, informował naród o polityce europejskiej,

nadsyłając z początkiem każdego tygodnia odrazu sześć przeglądów politycznych na każdy numer, w którym sprawozdania teatralne notowały wyłącznie: ile razy Żółkowskiego i Panczykowskiego przywołała na scenę rozbawiona publiczność, a treść pożywną numeru składały wiadomości o dziurawych mostkach ulicznych; naraz dostał się w ręce pisarzy, o urobionym estetycznym smaku, pragnących uczynić z anemieznego dziecka, zdrowego i jędrnego chłopaka, ku codziennej obsłudze publiczności.

---



## II.

Pomyślne początki. — Frykoye. — Alexandrowicz i Statkowski. — Polemika z Gołosem. — Wzrost prenumeraty. — Nieporozumienia. — Ustąpienie Statkowskiego. — Zawieszenie wydawnictwa. — Herman Benni.

**R**uchliwa gromadka współpracowników odrodzonego *Kurjera Warszawskiego* nie zakresliła sobie na razie żadnego programu, któryby temu organowi brukowemu miał nadać w przyszłości odmienny od dotychczasowego kierunek.

Miała ona przedewszystkiem na względzie literackie opracowywanie luźnych arty-

kulików gazeciarskich, ich urozmaicenie i obfitość. Pilnowali estetycznej strony pisma tacy smakosze stylowi, jak Szymanowski i Jan Chęciński, a językowej — nieubłagany wróg wszelakich dziwolągów gramatycznych — Alexander Walicki. Ten ostatni, z oblicza przypominający nieco Szekspirowskiego króla Leara, przyjął na siebie ważny, w ówczesnej rozmuzykowanej Warszawie, dział sprawozdań z koncertów, lecz przedewszystkiem czuwał nad czystością języka pisma, mającego czytelników wśród różnych sfer towarzyskich.

Szcześliwie i dowcipnie przeprowadzona polemika z kilkoma znanymi w Warszawie osobistościami, przedewszystkiem wszakże złota dla gazeciarstwa epoka wojny francuzko-niemieckiej, z powodu której, obsługa telegraficzna dostarczała czytelnikom co-

dziennie sporego zapasu sensacyjnych z pola bitew wiadomości, komentowanych trafnie i z zacięciem przez redaktorów politycznych *Kurjera* — wszystko to dawało owemu piśmie pożądany rozgłos i *Kurjer Warszawski*, do niedawna jeszcze traktowany z góry i z politowaniem przez współzawodników, powoli zaczął obrastać w pierze t. j. w prenumeratorów.

W owym to czasie, skutkiem rozciągnięcia do Królestwa ogólnej *Ustawy o Cenzurze* i przeniesienia władzy cenzuralnej od Redaktora obu *Dzienników Warszawskich*, Mikołaja Pawliszczewa, do utworzonego komitetu Cenzury, wprowadzono czasową zmianę w przedstawicielstwie urzędowem obu pism brukowych.

Miejsce redaktora *Kurjera Codziennego*, Kucza, zajął Piotr Aleksandrowicz, nie

utrzymał się też przy sterze *Kurjera Warszawskiego* i Wacław Szymanowski. Wyszukano w jego miejsce lepiej widzianą u władz cenzuralnych osobistość, w Wincentym Statkowskim, radcy stanu, b. dyrektorze komory pogranicznej.

Ow Statkowski, człek nie bez zdolności pisarskich, jeżdżący na bałamutnym koniku politycznych poglądów, objąwszy redaktorstwo tytularne *Kurjera*, rozpoczął niebawem polemikę z „*Gołosem*“, w której publiczność warszawska, odwykła już od lat wielu od artykułów politycznych, potrącających o najważniejsze zadania i sprawy krajowe, naraz znalazła obfite źródło do rozpamiętywań i budowała w fantazyi swojej nadpowietrzne zamki złudnych widoków i nadziei.

Skutkiem owej, prowadzonej z taktem

i niezwykłą werwą pisarską, polemiki, znalazł się *Kurjer* niebawem w posiadaniu kilku tysięcy prenumeratorów, lecz, co więcej, artykuły jego zaczęły się odzywać głośniejszem echem w pismach zamiejscowych; przytaczano je, zwalczano, polemizowano z niemi, a dawało to pismu niejaka powagę i pożądany rozgłos.

Zachęcony powodzeniem, zaczął sobie Statkowski zbyt seryo tłumaczyć własne stanowisko w *Kurjerze* i zapragnął nie żartem zepchnąć Szymanowskiego na szczebel jakiegoś przygodnego współpracownika, narzucając *Kurjerowi* bezwzględnie wolę swoją i kierunek redakcyjny.

Wywoływało to częste kolizye w łonie redakcyi, tłumione polubownie, jedynie gwoli zapewnieniu jako tako znośnego bytu pismu.

Lecz, o ile Szymanowski, z wrodzonym sobie taktem, pomijał milczeniem imprezy Statkowskiego, o tyle młodzież redakcyjna, jako młodzież, trzpiotliwa i wesoła, nie sobie z wymuszonej powagi pana radcy stanu nie robiła i, po za jego plecami, wywracała istotne w stancyjce redakcyjnej koziółki. . .

Z powodu jakiegoś programowego artykułu Statkowskiego, nie licującego ze stosunkami miejscowemi, przyszło wreszcie do otwartego zerwania.

Redakcyja Kurjera zaprotestowała przeciw zamieszczeniu owego artykułu, lecz pan radca Statkowski w charakterze redaktora domagał się bezwarunkowo jego wydrukowania. Gdy zgoda nie nastąpiła, Statkowski odmówił podpisu swego na kor-

rektach do cenzury wysyłanych i od redaktorstwa się cofnął.

W myśl przepisów cenzuralnych, ustąpienie redaktora pociągało za sobą zamknięcie pisma.

Jakoż *Kurjer Warszawski* przez parę miesięcy nie wychodził, a prenumeratoremie otrzymywali natomiast *Gazetę Handlową*.

Straty materyalne były wielkie, niezajomość przepisów i środków obrony jeszcze większa.

Wreszcie Wydział prassy zatwierdził nowego redaktora, w osobie Hermana Benniego.

Ow b. pastor, człowiek zdolny i uczony, lecz do pracy dziennikarskiej zupełnie nie podatny, obudził zrazu między współpracownikami *Kurjera* wielkie obawy, aby

siłą swej uczoności nie zaciężył zbytnio na powiewnej szacie pisemka brukowego.

Obawy były płonne. Benni, oprócz sprawozdań z prelekeyj publicznych, do redakcyi się nie mieszał, a z chwilą uregulowania wewnętrznych stosunków obu Kurjerów, redaktorstwo objął na nowo urzędownie: w *Kurjerze Warszawskim* — Wacław Szymanowski, w *Codziennym* zaś — Karol Kucz.

---



### III.

Obozy i kółeczka. — Wacław Szymanowski. — Wpływ Henryka Rzewuskiego. — Uczony a literat. — Kronikarz i fejttonista. — Rozczarowania pana Wacława. — Interpelacya Świętochowskiego. — Odpowiedź Szymanowskiego.



epoce, o jakiej tu mowa, nie istniały jeszcze, a przynajmniej nie tak jaskrawo, obozy literackie warszawskie, z różnobarwnemi chorągiewkami, wywieszonemi na nagłówkach pism, którym jako szyld służyć miały.

Rozpadnięcie się grona piszących na różne drobne kółka i kółeczka, z mniej lub więcej wybitną różnicą w zasadach

i przekonaniach społecznych, politycznych i filozoficznych, było dziełem czasów późniejszych, gdy już zakorzenił się przesąd, że pisarz, ogłaszający swe prace w kilku, odmiennej barwy, organach literackich, zaliczonym być winien do rodzaju hermafrodytów, bez prawa zabierania głosu w sprawach i kwestyach natury ogólniejszej.

Lecz za czasów moich, zasada owa, choć może tkwiła w przekonaniach wydawców, zazdrozczących sobie wzajemnie współpracowników, jednakże, między tymi ostatnimi nie dawała nigdy powodu do uwag i refleksyj i każdy z nich drukował prace swe tam, gdzie go ciągnęły sympaty osobiste, stosunki z redaktorami, lub też upodobania własne.

Ciągle zmieniająca się i stopniowo

zwiększana, lub też zmniejszana, gromadka współpracowników Kurjera, liczyła w epoce, między r. 1870 a 1880, literatów wszelkiej barwy i przekonań, uważając redakcję tego pisma za terytoryum neutralne, gdzie każdemu wolno było rozkładać swe penaty, pod warunkiem, że się pozbędzie tornistra ciężkich, naukowych przyborów i będzie przez chwilę tak lekkim i powiewnym jak atmosfera pisma, liczącego swoją poczytność na dni i godziny swego pojawienia.

Prowodyrem owej różnobarwnej grupy pracowników był redaktor Wacław Szymanowski, poeta i dziennikarz wyższego autoramentu, zaprawiony na tradycyi swego zawodu w szkole autora „Listopada“, który skupił ongi około wydawanego przez siebie, w piątym lat dziesiątku naszego wieku,

„*Dziennika*“ wszystkie wybitniejsze pióra i wytworzył liczny zastęp pracowników na polu literatury peryodycznej.

Wpływ Rzewuskiego, o ile w sferze poglądów ogólniejszych był, swego czasu, ujemnym, o tyle, pod względem techniki pisarskiej i kolorytu stylowego, miał niezaprzeczenie wartość dodatnią.

Na nim wzorowało się liczne pokolenie pisarzy, którzy postanowiwszy porzucić francuzki sposób pisania, starali się o dobór wyrażań swojskich, oryginalność i zamaszystość stylu, przypominające lepszą piśmiennictwa krajowego dobę.

Warunki edukacji ogólnej, w jakich się obracało przez kilka lat dziesiątków pokolenie nowsze, po roku 1830, stawały wielkie utrudnienia studjom uniwersyteckim. Cała — rzecz można — generacya

pisarzy z owej epoki, z nielicznymi zaledwie wyjątkami, należała do kategorii autodydaktów, którym, tylko wrodzone zdolności pisarskie i rodzaj literatury, jaki uprawiali, pozwoliły dobić się rozgłosu i wydatniejsze w umysłowym ruchu kraju zająć stanowisko.

Należał do tej kategorii i Wacław Szymanowski.

Nie przeszedłszy studyów uniwersyteckich, dających na życie całe pewien podkład systematycznego i gruntowniejszego wykształcenia, starał się Szymanowski braku swej edukacyi fachowej wypełniać pilnem czytaniem i urabianiem smaku literackiego, według gotowych wzorów, z drugiej ręki czerpanych.

Zdolności lingwistyczne, jakimi niezaprzeczenie celował, pozwalały mu czerpać

z tychże wzorów, wyrażeń i zwrotów jędrnych i dobitnych; gruntowna zaś znajomość języka francuzkiego, potocznego, nadała stylowi jego tę fejetonową lekkość i powab, stanowiące nieodzowne warunki poczytności każdego dziennikarza.

Szymanowski u c z o n y m nie był, w tem przynajmniej znaczeniu, jakie pracownicy e e c h o w i wyrażeniu temu nadawać zwykli.

Wiadomości jego naukowe gruntowały się na kompendyach dostępnych i opracowaniach pisarzy lżejszego pokroju; lecz wiadomości te, uzupełnione intuicyą i talentem, nacechowały prace Szymanowskiego podkładem faktycznym, wyłączającym powierzchowność, znamionującą zazwyczaj prace samouków.

W warunkach pomyślniejszych edukacyi ogólnej, może by był Szymanowski

stanął na wyżynie odpowiedniejszej pisarskim i twórczym zdolnościom, jakimi był uposażony. Jako poeta i dramaturg zająłby poczesne miejsce na Parnasie; jako baczny obserwator spraw życiowych swego społeczeństwa, mógłby pozostawić trwalsze jakie ślady w literaturze... W tych wszakże warunkach, w jakich się umysł Szymanowskiego rozwijał za młodu, był on i pozostał wszystkim — po troszę... Był poetą i dramaturgiem cenionym wiele, lecz bez wydatniejszego kolorytu. Był zręcznym sprawozdawcą faktów potocznych; był pisarzem czytany chętnie, lecz bez pozostawienia po sobie dzieł trwalszej wartości.

W ogólnej summie długoletniej swej działalności pisarskiej, był Szymanowski i pozostał fejletonistą, martwiąc się

niezmiernie owem stanowiskiem drugorzędnem w literaturze, które daje wprawdzie poczytność chwilową i popularność, lecz nie daje tytułu do oddzielnej kartki w historii umysłowości społeczeństwa.

Pamiętam dobrze tę chwilę gorzkiego rozczarowania pana Wacława, gdy po ukazaniu się „*Historji literatury*“ Bartoszewicza, znalazł się w niej pomiędzy zręcznymi „tłómaczami rymów Ponsard’a“, on, który mniemał, że go dziejopis zaliczy niewątpliwie do ulubieńszych i prawych Apollina synów! . .

Druga taka chwila rozczarowania spotkała Szymanowskiego, gdy go Alexander Świętochowski, podówczas jeszcze w *Przełądzie Tygodniowym* pracujący, w głośnej kampanii swej, jaką przeciw pisarzom staro autoramentu był rozwinał, zapytał

publicznie, o tytuły literackie do reprezentowania piśmiennictwa polskiego na kongresach literackich.

Rozżalony i dotknięty do głębi w swej wysoko mierzącej ambicyi pisarskiej, zdecydował się Szymanowski zebrać wszystkie swe poetyckie prace z lat ubiegłych i wydał je własnym nakładem, jako dowód, że kto w ciągu swej dziennikarskiej karyery mógł się zdobyć na kilka tomów prac oryginalnych i tłumaczonych, ten zasługuje na mandat przedstawicielski na międzynarodowej literackiej arenie.



#### IV.

Aspiracye i ambloyjki pana Wacława. — Niezrównany deklamator. — Karkołomne rymy. — Produkcye rymów białych. — Audytoryum Szymanowskiego.

**J**ako człowiek, należał Szymanowski do najlepszych sercem, jakich mi się kiedykolwiek w życiu napotkać zdarzyło.

Z nieschodzącym z ust dobrotliwym uśmiechem, gotów był zawsze służyć, pomagać, radzić wszystkim, którzy się do niego o pomoc zgłaszali. Powiedziałbym

nawet, że ilekroć pan Wacław przybierał, lub chciał przybrać minę poważną i seryo, widziano w nim przymus i — maskę. . . Śmiech gardłowy, urywany, przez zaciśnięte cedzony zęby i figlarne, przymrużone oczy, stanowiły charakterystyczną właściwość, nie powabnej, lecz bardzo sympatycznej, fizyognomii Szymanowskiego. Przy akompaniamencie owego śmiechu sardonicznego wygłaszał on nieustannie anegdotki, bądź zasłyszane niegdyś od Rzewuskiego, bądź z własnego, ongi kawalerskiego żywota zaczerpnięte, które zawsze chętnych znajdowały słuchaczy.

A lubił Szymanowski, aby go słuchano i podziwiano. Przysłonięte mając oczy na braki własnej, nie obfitującej we wszystkie zgłoski alfabetu, wymowy, zdawało się panu Wacławowi, że nikt lepiej od niego

nie były w stanie recytować wierszy ulubionych poetów.

Miał repertoar poczuj bardzo obfity i pamięć niepoślednią.

Zawsze otoczony gronem pisarzy młodszych, uważał się za duchowego ich sterownika i nie szczędził rad, zwłaszcza tym, którzy się doń zwracali po opinię o wierszowanych utworach. Uważał się przytem za mistrza poetyckiej formy, którą, w rzeczy samej, opanował, jak mało który ze współczesnych rymopisów.

Chociaż poezya Szymanowskiego nie wybijała nad poziomy i nie zaznaczyła się na Parnasie trwalszymi wzorami, jednakże nie można jej odmówić wyższego nastroju.

Nie było trudnej formy i rytmu, którychby nie pokonał, siłą tej dziwnej intui-

cyi, która zastępowała w nim braki systematycznych studyów.

Obdarzony delikatnem poczuciem piękna, nie lubił chadzać utartemi szlaki, lecz sam sobie torował drogę i wynajdywał przeróżne łamańce językowe. Zwłaszcza dobór rymów najniespodziewańszych, czerpanych z bogatego słownika wyrazów swojskich, zadziwiał czytelników, przypominając im metodę wagnerowską, która, z najprzeciwleglejszych tonów, potracających niemal o kakofonię, dobywa akordów zgodnych, zlewających się w *finale* we wspañałą harmonię dźwięków.

Przekonanie o wyższości swojej nad rówieśnikami po piórze, pod względem znawstwa architektoniki wiersza i umiejętnego jej stosowania, w oryginalnych i tłumaczonych utworach, nie przeszkad-

działo Szymanowskiemu witać z radością każdy nowo pojawiający się talent.

Uczucie zawieści, wrodzone po trosze wszystkim bez wyjątku rymopisom, uważającym się za osobiście pokrzywdzonych, gdy nowa jaka siła poważy się uderzyć z powodzeniem w struny liry i pogłaskać uszy słuchaczy harmonijną pieśnią — było panu Wacławowi obcem. . .

Znalazłszy godnego rywala na polu rymotwórstwa, nie szczędził mu pochwiał (obok nieodzownych, rozumie się, uwag, ze stanowiska mistrza formy) i sam przyjmował na się rolę kolportera sławy nowego talentu.

Uważało się to za dowód uznania ze strony Szymanowskiego, gdy poezję, ocenioną pochlebnie, odczytywał głośno, z właściwym sobie patosem, przyczem, natural-

nie, nie obywało się bez koniecznych reform w rytmie i rymie, improwizowanych na prędcie, w obecności zdziwionego takimi nadspodziewanemi innowacyami autora.

Szczególniejsza organizacja poetyckiego umysłu Szymanowskiego, zdolna do odnajdywania *stante pede* najharmonijniejszych rymów, pozwalała mu na wyścigi improwizować, na zadany temat, nieraz bardzo długie wiersze.

Jako nieprzyjaciel wszelkich rymów białych, którym odmawiał zupełnie prawa obywatelstwa w poezji, zakładał się Szymanowski niejednokrotnie, iż będzie w stanie przez godzin kilka recytować napoważniejsze monologi.

Jakoż, zasiadłszy w rogu redakcyj-

nej, silnie sfatygowanej sofy włosianej,  
wygłaszał pan Wacław przez godziny całe,  
skandowane rymy białe, ku ucieście i za-  
chwytwowi zgromadzonego koła słuchaczy.



## V.

Życie redakcyjne. — Bibki. — Pianino urzędowe. — Sienkiewicz. — Bliziński. — Anczyo. — Jenke. — Ojoleo Wincenty. — Leo. — Felicyan. — Reprezentant prenumeratorów. — Nie spodzianka. — Odyssea wydawców. — Nowa maszyna. — Man muss putzen! — Zgon Zabłockiej. — Format nowy.

**R**edakcyjna młodzież *Kurjera*, poczując się na siłach, ze zdwojoną gorliwością zabrała się do pracy, by nadać organowi brukowemu charakter pierwszych skrzypiec w orkiestrze prasy warszawskiej.

Utworzyła ona niejako ognisko, przy którym kupiły się wszystkie rwące się do publicystyki orleńta.

Życie towarzyskie, wesołe bibki Kurjerowe, niewyczerpany zapas plotek i anegdotek miejskich, ściągaly codziennie, w godzinach południowych, zastępy przyjaciół *Kurjera* do małej stancyjki redakcyjnej, w której znalazło miejsce nawet pianino, dla pokonywaczy palcołomnych ćwiczeń klawiszowych. Śniadania, złożone z obowiązkowych serdelków i świeżych bułeczek, a czasami i kawy gorącej, urządzone bywały sumptem składkowym, lub też ofiarnością kolejnych fundatorów, choć, zdarzało się, że pan Wacław, na którego kolejka wypadła być fundatorem, czasami dowcipnie na owe agapy się spaźniał. . . ku rozczarowaniu zbyt rozrzutnych śniadankowiczów Kurjerowych.

Do grona gości redakcyjnych należał i Sienkiewicz, w tornistrze którego, jako

szeregowca literackiego, spoczywała już wówczas marszałkowska laska przyszłego autora *Szkiców węglem*. Gromadzili się na redakcyjnych bibkach matadorowie literacy: chudy i kościsty redaktor *Tygodnika Ilustrowanego*, Jenike; obrośły jak żubr z puszczy Białowieskiej — Wincenty Korotyński; pokrzywionego, jak stary pantofel, nosa, lecz z gwiazdą Tyrteuszowego natchnienia na czole, Wł. L. Anczyce; dogmatyczny i niedopuszczający opozycyi w poglądach na politykę Europy, Józef Kenig; uśmiechnięty, figlarny i tworzący na poczekaniu kawalerskie dowcipy, Edward Leo; surowego jak księżę Alba wejrzania — poeta Felicyan; piszący te słowa, ozdobiony, wskutek plebiscytu młodzi redakcyjnej, tytułem — „reprezentanta prenumeratorów“; sympatyczny poeta Floryan (Rzęt-

kowski); Maleszewski Władysław i wielu innych.

Młódź redakcyjna Kurjera coraz natarczywiej zaczęła domagać się zwiększenia formatu pisma, by młódz rozmachowi swych piór dać większą przestrzeń do zapasów.

Szymanowski w przesądnym konserwatyźmie opierał się jak mógł owym zachciankom, tłumacząc się jakimiś nieodgadzionymi kombinacyami wydawniczemi, w moc których, w miarę zwiększania się liczby ogłoszeń, straty materyalne będą większe. . .

Na dnie jednak owej oporności, przeciw reformatorskim planom Kurjerowej młodzieży, tkwiła głęboka nieznamomość praktycznej strony wydawnictwa, która i w ta-

kich doświadczonych wydawcach, jak Gebethner i Wolff, prawie że z naiwnością graniczyła...

Ani Szymanowski, ani jego wspólnicy, nie byli mistrzami w rachunkowości. O zyskach, jakie zaczął przynosić Kurjer, dowiedzieli się — jak zapewnia jeden z wtajemniczonych — prawie, że przypadkowo. Gdy pewnego razu Szymanowski zgłosił się do kasy z trwożliwym zapytaniem: czyby się nie dało wziąć z niej tytułem forszusu parę set rubli? i tę kwotę bez trudności otrzymał, i gdy Gebethner z jednej, a Wolff z drugiej strony, również jakiejś zaliczki zażądali i tę im bez żadnych kowodów wypłacono — zaczęli się wspólnicy domyślać, że Kurjer w rzeczy samej przynosi jakieś dochody... Jakoż, sprowadziwszy biegłego rachmistrza, Piotrowskie-

go, przystąpili do obliczeń i repartyeyi dochodu, i przekonali się, ku najwyższemu zdziwieniu, że na udział wspólników przypada czystego zysku — kilkanaście tysięcy rubli!

Pan Wacław tak się owym rezultatem uradował, że zaprosiwszy zaraz paru współpracowników do Stępkowskiego, uraczył ich i siebie ćwiartką porteru i ósemką kawioru. . .

Zaczęto na seryo myśleć o sprowadzeniu nowej maszyny drukarskiej.

Pojechał tedy Gebethner za granicę, obejrzał maszynę i powrócił do Warszawy. Za nim wybrał się i Wolff, również obejrzał maszynę i powrócił. Pojechał i p. Wacław sam, opukał maszynę i powrócił. Wybrali się następnie we dwójkę, później we trójkę i po kilkakrotnem oglądaniu maszyny, sprowadzili ją nakoniec z Erfurtu.

Zapisała maszyna i po niedługim funkcyonowaniu — ustała. Sprowadzono maszynistę od Ungra, który orzekł, że: *die Maschine muss geputzt werden*. Pucowano tedy oporną maszynę kilkakrotnie i płacono za każde pucowanie po 3 ruble, a Niemiec wciąż powtarzał: *man muss putzen...*

Wreszcie maszynę kupił Unger, a panowie wspólnicy, po wielu nowych, nieudanych próbach i wyjazdach, sprowadzili od Marinoniego maszynę ogrzewaną gazem.

Gdy już owa maszyna na dobre rozgościła się w oficynie Kurjera i gazowemi wyziewami napoiła mózgi i nosy pracowników, rozpoczęły się na nowo targi o zwiększenie formatu pisma, lecz gdy i te nie poskutkowały, postanowiła młodzież zbuntować się i pewnego dnia, gdy już nale-

żało odbitki puścić na prasę, znalazła się w pełnym komplecie na dziedzińcu przy studni i urządziła strajk.

Zdziwiony Szymanowski biegnie do redakcyi z zapytaniem, dlaczego korekty jeszcze nie sporządzone, a maszyna gazowa syczy, a nie burezy?

Usłyszawszy, że w redakcyi bunt i że młodzież odmawia dalszych posług, domagając się zwiększenia formatu pisma, spieszy pan Wacław do strejkujących i zaklina na wszystkie świętości, by zaprzestano owej niebezpiecznej zabawy.

Wreszcie, po wielu przekomarzaniach, zawarto słowne pacta conventa z redaktorem i pan Wacław, prawie że ze łzami w oczach, ustąpił...

Dziwnym zbiegiem okoliczności, tegoż

samego dnia, gdy z domu, w którym mieścił się *Kurjer*, wyprowadzano trumnę pani Zabłockiej, córki Dmuszewskiego, chłopaki kurjerowe wybiegły na miasto, ze zdwojonym objętością *Kurjerem Warszawskim*, który, od owej chwili, w nowym formacie zaczął się ukazywać *urbi et orbi*...

Nadspodziewane powodzenie pisma oddziało, jeszcze za życia Zabłockiej, na zmianę warunków jego wydawniczych. Był czas, gdy o pozyskanie własności *Kurjera* ubiegał się i restaurator Antoni Stępkowski, osobistość ruchliwa i przedsiębiorcza, o której „*Świąteczny*,” biorąc assumpt z płyt miedzianych, jakie w oknie sklepu pana Antoniego obok homarów leżały i czyniąc aluzję do częstego jego pochrząkiwania, śpiewał:

W jednym oknie homar siedzi,  
W drugim leży kupa miedzi,  
A gospodarz z rudą bródką,  
Hm, hm! Hm, hm! chrząka krótko.

Trudno jednak było połączyć śniadankowe kłopoty z wydawniczemi aspiracyami.


— Ja bym tam kuryerka kupił — mawiał Stępkowski — ale cóż, kiedy ja tam owych kawałków układać nie umiem...

Skończyło się na samym projekcie, a dzierżawcy *Kurjera* stawszy się jego właścicielami, za niewielką stosunkowo sumę, spłacili udział Mirona i utrzymali się wraz z Bogusławskim, który  $\frac{1}{12}$  w całości udziałów posiadał, przy dalszem jego wydawnictwie.

---

## VI.

Pań Wacław u siebie. — Fatersztul, szlafrok i fez. — Wspaniała kolekoya cygarniozek. — Kij Paracelsa. — Mistycyzm Szymanowskiego. — Eklerki, seanse i wirujące stoliki. — Sędziwój. — Kurjer a Kurjerek. — Jubileusz Kucza. — Totek Lebrun. — Zemsta. — Popiel i Kucz.

odziny bytności Szymanowskiego w kole redakcyjnem schodziły na niustannych żartach, niewyczerpanego w dowcipnych pomysłach redaktora.

Nigdy nie zastawano go w redakcyi z piórem w ręku, przy biurku. Artykuły własne, których bardzo wiele, każdodziennie prawie, drukował w swym dzienniku, prace większe, zamieszczane w tygodni-

kach miejscowych, poczyte oryginalne, lub tłumaczone, przygotowywał Szymanowski w prywatnym swym, z komfortem urzędowym, gabinecie własnego mieszkania, otoczony stosami gazet, książek najświeższych i listów, nadsyłanych gromadnie ze wszystkich okolic kraju.

Pracę pisarską miał Szymanowski bardzo łatwą. Pióro jego ślizgało się po papierze, bez wysiłku, czerpiąc na zawołanie z mózgownicy swego kierownika zwroty i okresy pożądane.

Pisząc w wygodnym *fatersztulu*, w barwistym *szlafroku*, z tureckim, ponsowym *fezem* na głowie, gawędził pan Wacław z rodziną i licznymi gośćmi, kręcił papierosy w palcach, osadzając je misternie w najprzeróżniejszych cygarniezkach, których całe kolekeye przed nim leżały, w to-

warzystwie rozmaitego kształtu i wielkości portemonetek i papierośnic.

Do każdego przedmiotu, choćby najniepozorniejszego, przywiązaną była jakaś tradycya, jakieś przypomnienie wesołych, lub smutnych chwil życia. O każdym z nich przytaczał na zawołanie jakiś szczegół ciekawy, lecz najbardziej pieścił i pielegnował grubą, niepozorną laskę, opatrzoną niezliczonem mnóstwem garbów, o rękojeści dziwnie pokrzywionej.

Był to, jak zapewniał, kij Paracelsa, obdarzony magiczną siłą robienia równoległych sińców na grzbietach historyków literatury i krytyków...

Do ukrytych sprężyn poetyckiej twórczości Szymanowskiego zaliczał się i szczególniejszego rodzaju mistycyzm, który, w skojarzeniu z dewocyjnym nastrojem

umysłu p. Waclawa, czynił zeń, w pewnych chwilach, rodzaj natchnionego, fanatycznego, wierzącego we wszelkie gusła i przepowiednie fakira, mającego jakoby najżaźylsze ze światem gnomów i duchów stosunki.

Najulubieńszym przedmiotem rozmów Waclawa było — życie zagrobowe, pełne uroków i tajemnic niewiadomego.

Wpadłszy raz na temat duchów i zjawisk pozagrobowego życia, rozwijał Szymanowski szereg dowodów, przemawiających jakoby za rzeczywistością zjawisk, wytworzonych w bujnej jego wyobraźni.

Miał całą bibliotekę dzieł, traktujących o tajemniczym świecie duchów. Sam wierzył w kręcące się stoliki, samopiszące ekierki i zaufanym swoim urzą-

dział *seanse*, które jakkolwiek często zawodziły, nie odejmowały wszakże reżyserowi wiary w ich prawdomówność i skuteczność...

Przyczyn owego mistycznego nastroju wierzeń Szymanowskiego należy szukać w bardzo drobiazgowych badaniach, jakie w pewnej dobie życia swego prowadził był nad dziejami Sędziwoja, któremu, oprócz bardzo pięknego dramatu, poświęcił i oddzielną, — może najpracowitszą ze znanych dotąd o Sędziwoju — monografię, drukowaną ongi w *Tygodniku Ilustrowanym*.

Przy refleksyjnym wszakże i mistycznym nastroju umysłu, należał Szymanowski do najweselszych i najbardziej z wesołej strony biorących życie jednostek.

Drobiazgi życiowe zajmowały go bardzo silnie.

Ze stanowiska swego, jako redaktor popularnego organu dziennikarskiego, zajmował się wszystkimi objawami społecznego życia i sam chętny w tem życiu przyjmował udział.

Życie rodzinne, towarzyskie i literackie wypełniało wszystkie chwile dziennych jego zajęć.

Począwszy od świata arystokratycznego, od finansów, aż do życia ludowego i cygańsko-literackiego, wszędzie obracał się Szymanowski z dziwną łatwością, lecz czuł się dopiero naprawdę między swoimi, gdy się widział otoczonym gronem młodzieży, wstępującej w szranki literackiego zawodu. Tutaj lubił grać rolę mentora i przewodnika, szafując radami i przestro-

gami, czerpanemi z długiej swej praktyki literackiej.

Powtarzano o Szymanowskim, że posiadał wygórowane uczucie ambicyi i miłości własnej, graniczącej z fanatycznym rozmiłowaniem się w swoich zaletach i zasługach...

Jeżeli tę cechę postawić na gruncie czysto ludzkim, to trudno nie przyznać, że miłość własna Szymanowskiego nie przekraczała granic wrodzonego każdemu bez wyjątku człowiekowi samolubstwa. Lecz z tą cechą łączyło się w panu Wacławie i przeświadczenie, o wyjątkowej popularności stanowiska redaktorskiego, jakie zajmował, przeświadczenie, które czasami przybierało formy jaskrawe wyniosłego traktowania współzawodników i ściągalo

nań gromy ze strony obozów przeciwnych.

Głównem pozostało oburzenie Szymanowskiego, gdy *Przegląd Tygodniowy*, nazwał pismo jego nie *Kuryerem*, lecz — *Kuryerkiem*... Zbyt żarliwa, ambicyjna, a trochę niezręczna obrona tytułu pisma, które pragnęło koniecznie dobić się znaczenia *Weltblattu*, sprawiła, że odtąd, w polemice, chcąc dokuczyć „organowi z Placu Teatralnego“, nie inaczej go nazywano, jeno — *Kuryerkiem*.

Kiedy przypadł był jubileusz dwudziestopięcio letniej pisarskiej działalności Kucza, przyjaciele i współbiedniacy pana Karola postanowili uczcić tę uroczystość publicznym bankietem. Prowadzonym ową manifestacyi był sympatyczny meloman ś. p. T o t e k Lebrun, osobistość niezmier-

nie ruchliwa, mile w kołach towarzyskich warszawskich ongi przyjmowana.

Grono *Kuryera Warszawskiego* znalazło się w obec owego jubileuszu w dosyć drażliwym położeniu...

Absenteizm pana Wacława, mógłby nań ściągnąć zarzut jakiejś zawiści względem rywala... Udział zaś w uroczystości koteryjnej — nie bardzo dogadzał młodzieży redakcyjnej *Kuryera Warszawskiego*... Po długich jednakże naradach, stanęło na tem, by Totkowi Lebrunowi napisać list zbiorowy, w którym wyrażono gotowość przyjęcia udziału w jubileuszu Kucza ze strony *Kurjera Warszawskiego*, w osobie redaktora.

Nadspodziewanie, gotowość ta nie znalazła oddźwięku w obozie przeciwnym...

Nadesłano Szymanowskiemu list, w któ-

rym Totek Lebrun, imieniem inicjatorów jubileuszu oświadczył, że ponieważ uroczystość Kucza będzie miała charakter czysto rodzinny, uświetniony obecnością wyłącznie *najżyczliwszych* jubilatowi osób, z tego względu, nie byłoby to na ręce inicjatorów, aby w gronie biesiadników znajdowali się przedstawiciele współzawodniczącego organu.

Młodzież *Kurjera Warszawskiego* w obec tej odprawy zawrzała oburzeniem. Postanowiono pomścić zniewagę, lecz o środki zemsty trudno było na razie...

Wówczas Szymanowski powziął dowcipną myśl skarykaturowania jubileuszu Kucza, przez nadmierne jego wysławienie, a że właśnie w tym roku przypadał jubileusz dwudziestopięciolecia pracy baletnika Popiela, napisał tedy Szymanowski na-

pojony gryzącą ironją artykuł, pod tytułem: „D w a j j u b i l a c i“, w którym, zestawiając uzdolnienie Kucza i Popiela, zřecznie przeprowadził porównanie między karkołomnymi piruetami nożnemi i umysłowemi obu jubilatów...

---

## VII.

Przyboczni pana Wacława. — Nieproszony sekretaryat. —  
Podróż do Lublina. — Inżynier i jego pomocnicy. — Anty-  
kwaryusz. — Dziwna ignorancya. — Brajbisz! — Słabostki  
szykowca. — Komplecik Gawalewicza.



wysokomiernej swej redaktorskiej ambicyi, lubił się Szymanowski otaczać towarzystwem młodych i przedstawiać ich w charakterze sekretarzy redakcyjnych.

Do wycieczek na prowincyę, lub do Krakowa, zapraszał zwykle paru młodszych literatów, którym obiecywał stosunkami swemi ułatwić wstęp do kół towa-

rzyskich i na zebrania publiczne, a gdy nadzieja spędzenia z wesołym i sympatycznym towarzyszem podróży kilku dni przyjemnych, nie jednego do takich wycieczek zachęcała, dowiadywali się oni później, ku najwyższemu zdziwieniu, że pan Wacław poufnie przedstawiał ich wszędzie jako swych — sekretarzy przybo-  
c z n y c h.

Nie czyniło to bynajmniej ujmy takim improwizowanym na prędcę sekretarzom, którzy następnie sami o takiej pozyskanej niespodziewanie i... gratisowo godności, śmiejąc się, rozpowiadali; lecz rys ten malował dosadnie aspiracye pana Wacława do otaczania się nimbem redaktorskiej wszechwładzy i do szerzenia przekonania o wyjątkowym wpływie organu

dziennikarskiego, którego był przedstawicielem.

Zdarzyło się raz, iż na otwarcie kolei Nadwiślańskiej wybrał się był p. Wacław do Lublina, rozumie się, w towarzystwie paru literatów młodszych. Kiedy go w hotelu Victoria zapytano o nazwisko i powołanie, Szymanowski ze zdziwieniem zmierzzył od stóp do głów pytającego, jakby go chciał ukarać za dziwną ignorancję, iż nie wie, że ma do czynienia z... redaktorem *Kurjera Warszawskiego*.

— Jestem Szymanowski — odrzekł krótko — a ci panowie są moimi współpracownikami...

Jakoż bezzwłocznie na tablicy hotelowej zamieszczono ogłoszenie: iż przybył do Lublina W-ny Szymanowski, inżynier, z swymi pomocnikami.

Innym razem, spacerując z młodym towarzyszem po mieście, zaszedł pan Wacław do pewnego antykwaryusza, lecz wchodząc do sklepu, nie zaniedbał uprzedzić swego towarzysza, iż go ów antykwaryusz niewątpliwie zna dobrze, jako sławnego pana redaktora *Kuryera*.

— Pan zapewne mnie poznaje? — zapytał pan Wacław księgarza.

Antykwaryusz zakłopotany zaczął się przyglądać przybyłemu i — mileżał.

— No, pomogę panu... Plac Teatralny...

Antykwaryusz ciągle mileżał.

— No, wprost Teatru... na Wierzbowej ulicy...

— Aha! wiem już! — zawołał rozradowany antykwaryusz — pan jesteś...  
Brajbisz!

Przytaczam te anegdotki nie dla ośmieszenia pamięci zacnego człowieka i pisarza, którego, na równi z wieloma, kochałem szczerze, lecz dla uwydatnienia owych drobnych rysów charakteru, składających się na duchową organizację wybitniejszych osobistości, które, przechodząc z ust do ust, tworzą z czasem w pamięci pokoleń legendę, nie przynoszącą ich sławie i zasługom najmniejszej ujmy.

Szymanowski miał swoje śmieszności i upodobania, jak je ma każdy z ludzi, co to własną pracą i talentem wybili się ponad poziom powszedniości i zwracają na siebie uwagę ogólniejszą.

Do takich, między innymi, cech i słabostek Szymanowskiego, należało przeświadczenie, iż nikt lepiej i gustowniej nadeń się nie ubierał...

Choć, pod tym względem, jeden lub drugi, w poufnych między sobą zwierzeniach, pozwalali sobie wynurzać pewną wątpliwość, jednakże nikt nie śmiał głośno przeczyć Szymanowskiemu, iż, w rzeczy samej, pod względem szyku, stanowi on wzór naśladowania godzien.

Każdy, ściślej z Szymanowskim zestosunkowany pracownik, musiał przechodzić ogniową próbę podziwu nad wytwornym smakiem ubiorów pana redaktora, każdemu udzielał rad i wskazówek, jak i gdzie ubierać mu się należy, aby dorównać szykiem i formą niedoścignętemu pierwowzorowi...

Kiedy przybył do Warszawy młodziutki podówczas pisarz, Gawalewicz, i przyjętym został w poczet pracowników *Kurjera*, pan Wacław uznał za konieczne objaśnić

nowego towarzysza, iż mody galicyjskie zupełnie są nieodpowiednie dla bruku warszawskiego i sam podjął się być mu przewodnikiem w wyborze gustownego „garnituru“.

Wybrali się tedy we dwójkę do Juszczyka, gdzie, według wskazówek mistrza, dobrano odpowiedni „komplecik“, w który też, bezzwłocznie, ku zachwytowi pana Wacława, ubrał się młody Telemak, wysupławszy ze skromnej sakiewki całkowitą za ów listek figowy należność.

Wychodzą obaj towarzysze na ulicę, podziwiając się wzajemnie, gdy wtem zbliża się do nich znajomy redaktora.

Po pierwszych słowach powitania zwraca się pan Wacław do przybyłego, ze słowami :

— Patrz i podziwiaj, jak śliczny komplecik, kupiłem memu współpracownikowi!

*Tableau!*

---



## VIII.

Przed burzą. — Artykuł Lubowskiego. — Kampania młodszych. — My i oni! — Juste milieu. — Wewnętrzne ulepszenia. — Honoraria. — Jubileusz Szymanowskiego. — Toast palestranta.

**K**iedy rozpoczął się był w sferach umysłowych nowszego pokolenia ruch w kierunku pozytywnym i kiedy coraz częściej i gęściej zaczęły z obozu pozytywistów padać strzały między przedzoną silnie falangę starszych pisarzy, grożąc zupełnem rozbićciem zasług i rozgłosu weteranów literackich dawniejszej epoki — Szymanowski przez chwilę wahał

się w wyborze drogi, jaką wobec tej wyprawy obrać mu należało.

Rozpoczynając od gwałtownego ataku, skierowanego przeciw „prasie rewolwerowej“ (*vide* głośny swego czasu artykuł Lubowskiego), nosobionej, wedle twierdzenia „starych“, w *Przeglądzie* Wiślickiego i w polemicznych artykułach ówczesnych Świętochowskiego, powoli zaczął Szymanowski nabierać przekonania, że nie do niego, jako do przedstawiciela organu popularnego, należy, walczyć z prądami i kierunkami unysłowego ruchu społeczeństwa.

*Kurjer*, jako pismo przeważnie brukowe, przenikające do wszystkich warstw i kółek towarzyskich — tak począł rozważać redaktor — powinien być odzwierciedleniem wszystkich objawów chwili...

Rozwinięcie sztandaru pewnej określonej idei mogło by odstręczyć przeciwników tej idei od czytelnictwa i zaszkodzić powodzeniu szybko wzrastającego w popularność piśma.

Wybrał tedy Szymanowski drogę pośrednią i nie przechylając się ani na jedną, ani na drugą stronę, postanowił stać jedynie na straży tych ideałów, które dla wszystkich bez różnicy stronnictw literackich miały zawsze powagę nienaruszalnej świętości.

W szeregu reform, jakie w układzie swego pisma zaprowadził, począł od drukowania drobnych artykułów wstępnych, w których poglądy swoje, przeważnie charakteru etycznego i obyczajowego rozwijał.

Szymanowskiego zasługą niepomierłą

pozostanie reforma pracy dziennikarskiej pod ekonomicznym względem, ustalenie zasady, że praca ta, jak każda inna, wymaga wynagrodzenia; że epoka darmocho literackich, zwłaszcza w pismach, które karmią się udziałem wszystkich chętnych do notowania objawów życia codziennego, bezpowrotnie minąć musi. Stał się też *Kurjer* źródłem przyzwoitych dochodów dla literatów zawodowych i środkiem utrzymania nie jednego z początkujących pisarzy, a nie było rzadkością, iż i studenci Szkoły Głównej chętny w tem piśmie przyjmowali udział.

Miał ten udział i dla tych ostatnich wpływ dodatni, w tem choćby znaczeniu, iż Szymanowski, jako znawca i smakosz stylu, stał bacznie na straży czystości języka, i nie dopuszczał żadnego odstęp-

stwa w tej mierze, przestrzegając unika-  
nia zwrotów i wyrażeń cudzoziemskich,  
zawiłanych i długich okresów.

Usnął również bezpowrotnie powie-  
ści tłumaczone z języków obcych ze  
swego odcinka, który też pięknymi, ory-  
ginalnymi pracami pisarzy swojskich zyskał  
uznanie ogólne.

Popularność Szymanowskiego, jako re-  
daktora *Kurjera Warszawskiego*, odbiła  
się sympatycznym echem w kołach towa-  
rzyskich Warszawy, podczas obchodu jubi-  
leuszowego ćwierć-wiekowej jego działal-  
ności literackiej.

Bankiet dlań wyprawiony w salonach  
Resursy kupieckiej, na który pospieszyli  
wszyscy jego wielbiciele, należał swego  
czasu do arcy-ożywionych i niepowszednich.

Mowy i toasty, wygłoszone na cześć

jubilata, uwydatniły jego zasługi i literackie szewrony, w długoletniej i pożytecznej dla społeczeństwa pracy zdobyte.

W szeregu mów poważnych znalazła się i humorystyka, a wiersz przez jednego z biesiadników na cześć jubilata wygłoszony, odtwarzający jego charakterystyczne rysy, nie od rzeczy będzie w tem powtórzyć miejscu:

Po toastach wzniesionych na cześć jubilata,  
 Nie będzie to i czasu i atlasu strata,  
 Jeśli — jak nad zmarłymi Egipcyanie starzy —  
 Złożymy sąd nad *żywym* królem kronikarzy.

Zapozygam cię przeto grzeszniku Wacławie!  
 Zabierz miejsce należne na podsądnym ławie,  
 Schyl w pokorze swe czoło, laurami spowite  
 I poznaj swoje grzeszne *curriculum vitae*.

*Generalia* twe znane...

Masz postawę zucha,  
 Zoilowską twą fisis uwieczniła *Mucha*.

Jesteś *aptus vivendo* długie jeszcze lata...  
 Fortuna do drzwi twoich peha się i kołata...  
 Masz żonę kochającą, masz dorodne córę,  
 I synek twój już rzeźbi z marmuru figury...  
 Na domiar, wbrew przysłowiu o pisarskiej nędzy,  
 Masz chałupkę kamienną i dużo pieniędzy...  
 Tyleby tylko przywieść ku twej skrusze trzeba...  
 Ale i większych darów użyczyły-é Nieba!  
 Złóż więc tutaj, przed sądem, z działań swoich  
 [sprawę.

Ówieré wieku już minęło, jak badasz Warszawę  
 Jej enoty, jej śmieszności, jej wady rozliczne;  
 Opisałeś jej życie domowe, uliczne,  
 Uchyliłeś zasłonę z figlarnej jej twarzy,  
 Obliczyłeś procenta *warszawskich lichwiarzy*,  
 Zajrzałeś w głąb salonów, zdeптаłeś ulice,  
 I z tego nam skreśliłeś *Obrazki* i *Szkice*...  
 Nie skończyłbym twych grzechów olbrzymiej  
 [rubryki,  
 Gdybym stracił z uwagi, żeś składał *Kroniki*.  
 Nie takie, jak Gallusa, Długosza, Gwagnina,  
 Lecz pod tarczą *satyry*, co chłószeze, docina,  
 Co ludziom przypomina ich życiowe trudy,  
 I łyżeczkę lekarstwa podaje na nudy...



Codziennie zaś, jak upiór, wpadasz między ludzi,  
A szelest pióra twego, ze snu Kucza budzi...

Spełniona zatem do dna grzechów twoich czara,  
Spotkać cię za nią musi zasłużona kara.  
Nie ulęknem się twoich zdraźnych łez potoku  
I taką ci obwieścim *sentencję wyroku*:


Zważywszy, że twe grzechy, mimo ich ogromu,  
Nie są jeszcze dość jawne w każdym polskim  
[domu,  
Zważywszy, że dla dobra przyszłych generacji,  
Potrzeba większy splendor dać twej reputacji,  
Skazujemy cię, mocą prawniczych wyników:  
Na — *dwadzieścia tysięcy płatnych czytelników!*

---



## IX.

Miron. — Sobowtór Musseta. — Idealna trójca. — Welt-schmerz. — Lazury i bruk uliczny. — Modrzejewska. — Pleśń. — Robota dziennikarska. — Pohła i rabin. — Atak flankowy. — Miron sobą i u siebie. — Ongi a dziś.

bok reporteryi przygodnej, której zadaniem być miało rejestrowanie na gorącym uczynku wszelkich wypadków krajowych, miejskich i prowincjonalnych, istniała w *Kurjerze Szymanowskiego* reporterya poważniejsza, powołana do zwiększonego zdawania sprawy z ruchu literackiego i artystycznego w sferze literatury,

sztuki, życia publicznego, sądowego i ekonomicznego.

Zanim przez zaciągnięcie się do szeregów redakcyjnych sił nowych, w osobach: Kazimierza Zalewskiego, Władysława Bogusławskiego i Wiktora Gomulickiego, działały owe zyskały bardziej wykończoną formę literackich referatów, miały one przedstawiciela w młodym i utalentowanym pisarzu Aleksandrze Michaux, który, rozpoczynając od udatnych prób poetyckich w tygodniakach zamieszczanych, dopiero w *Kuryerze* zaczął stawiać pierwsze kroki na ciernistej drodze dziennikarskiego zawodu.

Wiele już czasu upłynęło od owej chwili, gdy Miron wstąpił w literackie szranki.

Głośny ów ongi pseudonym okrywa

dziś pył zapomnienia, ku wielkiej szkodzie tego działu piśmienniczego, którego był przez długi czas rzeczywiście ozdobą.

Wiele się na to złożyło przyczyn, o jakich w tem miejscu rozwodzić się jeszcze nie pora... Nastąpi jednak z czasem chwila, że znaczenie Mirona i jego niepoślednie stanowisko w dziennikarstwie i na Parnasie należycie wyświetlonemi i ocenionemi zostaną, a wtedy ujawnionemi będą i te bolesne powody, które ów talent niepośledni, poetycki, najprzód na manowce, a nakoniec i do zupełnego doprowadziły upadku...

W epoce rozkwitu *Kuryera Warszawskiego* i zgrupowania się owego kółka pisarzy młodszych, o jakich była mowa, Miron stał na zenicie swego fizycznego i umysłowego rozwoju.

Był to młodzieniec o szlachetnych, regularnych rysach twarzy, którym włos bujny, blond, zaczesywany w górę i kłębiący się w pięknych konturach, nadawał nadzwyczajne do Alfreda de Musset podobieństwo.

Podobieństwo to było nie tylko zewnętrznym, lecz ujawniało się w psychicznych właściwościach natury refleksyjnej, wrażliwej na piękno, harmonię i biorącej życie wyłącznie z jego najpowabniejszej, poetycznej strony.

Miron, rzec można, był polskim sobowtorem Musseta.

Rozmiłowanie się w utworach tego poety i w nim samym, nadało wszystkim utworom Mirona pewną cechę naśladownictwa owego pisarza i tej nielicznej Apolinowej dziatwy, która w literaturze wszech-

świata tworzy trójcę znamioną, skojarzoną między sobą wspólnymi rysami charakteru i rodzaju uzdolnienia poetyckiego.

Musset, Bajron i Heine byli duchowymi ojcami Mirona.

Oni to przeważnie wpłynęli na rozwój umysłu tego pisarza, natchnęli jego muzę uczuciem rozgoryczenia i *Weltschmerzu* i nadali dźwiękom jego liry harmonijne akordy, kończące się zazwyczaj rozmyślnym, sarkastycznym rozdzwiękiem.

Szara powszedniość brukowego życia, w której Miron przebywał, nie licowała zupełnie z jego fantazyjnym usposobieniem.

Pod lazurowym niebem Italii, wśród warunków życia zmysłowego, podniecającego nieustannie ponętami i urokami otoczenia, byłby niezawodnie Miron znalazł

odpowiedniejszą dla swoich kapryśnych upodobań egzystencję... Na bruku warszawskim — było mu i za ciasno i za prozaicznie... Szukał więc osłody i znajdował ją — w sztucznem podniecaniu fantazyi środkami nie poetycznemi, które mu wytwarzały atmosferę złudną rajskich zachwyków i pozwalały grać rolę rozpieszczonego dzieciaka, tęskniącego za błękitnym kwiatkiem ułud i marzeń rozkosznych.

Zaciągnął się Miron pod sztandary *Kuryera* w epoce największego rozkwitu sceny warszawskiej, w chwili, gdy talent Modrzejewskiej rozkoszował widzów kreacyami nieśmiertelnego Szekspira.

Sprawozdania teatralne wyrobiły sobie w prasie warszawskiej pewien tryb określony, uprawiany przez gazety większego formatu, a prowadzone przez dzielne pióra

Lesznowskiego i Keniga, stanowiły istotne studia estetyczne, cheiwie przez miłośników sceny czytywane.

Lecz na ukazanie się takiej recenzji nieraz długo czekać trzeba było, a ukazywały się one wówczas, gdy już sztuka była prawie że zapomniana.

*Kuryer Warszawski*, z natury swej, skazanym był na sprawozdania natychmiastowe, pod świeżem kreślonem wrażeniem.

Musiał zaraz nazajutrz, po ukazaniu się jakiej *premiery*, zdawać czytelnikom sprawę z powodzenia lub niepowodzenia sztuki; musiał w krótkich, a zwartych artykułkach, przedstawiać jej treść i oceniać szczegółowo grę artystów.

Wdzięczne to zadanie Mironowi przypadło w udziale.

Wywiązał się zeń tak pomyślnie, że, po kilku próbach, recenzje teatralne *Kuryera*, znane poprzednio jedynie ze statystycznego obliczania ilości przywołań aktora, zaczęły nabierać znaczenia krytycznej i wartościowej oceny literackiej.

Lecz nie tylko sprawozdania teatralne miały w Mironie dzielnego przedstawiciela.

Na krótko przed reformą sądową zaczęły pisma codzienne, wbrew dotychczasowej praktyce, zdawać krótkie relacje ze spraw sądowych ciekawszych, przystrajać je w literacką, ponętą dla czytelników, szatę.

Nie było to już suche sprawozdanie z treści aktu oskarżenia i wyroku, lecz barwne streszczenie faktu przestępstwa, charakterystyka podsądnych ze stanowiska

obserwatora społecznego, rejestrowanie przyczyn i skutków winy, zdolne zająć i zastanowić szersze czytelników koła.

I tutaj Miron, choć prawnikiem nie był, oddawał piśmisku rzetelną przysługę.

Toż samo było i ze sprawozdaniami z prelekcji publicznych, które swego czasu były jeszcze w modzie, a zajmującymi być musiały, ile że na katedrze stawiali mówcy, z prac naukowych i talentu krasomówczego chlubnie znani.

Z tem wszystkim, w Mironie, jako autodydakcie, było więcej intuicyi, więcej talentu wrodzonego, aniżeli — nauki systematycznej i przedmiotowej...

Arkana literatury swojskiej, z zakresu wiadomości nawet dostępniejszych, były mu dosyć obcemi. Zdradzało się to nieraz w rzeczach drobnych, które wszelako,

w pojęciu fachowców literackich, stanowiły jeden z ciężkich, niewybaczalnych grzechów głównych...

Zdarzyło się np. razu pewnego, że w jednym z pism zamieszczono szereg bajek, a między innymi i bajkę pod tyt. „Pchła i rabin“, podznaczoną literkami: *A. M.*

Miron przestraszony, aby owych inicjałów, oznaczających jego imię i nazwisko, nie przypisano jemu, subtelnemu śpiewakowi liryk i bajronowskich stanz, rzucił się nieogłędnie na potulnego i Bogu ducha winnego... Adama Mieczyskiego, przypisując mu autorstwo owej „nieestetycznej i niesmacznej bajki.“

Ni ztąd, ni z owąd, pojawia się w *Kurierze Codziennym* gwałtowna dyatryba przeciw Mironowi, karząca go za niewia-

domość rzeczy tak znanej, iż autorem bajki był, ni mniej, ni więcej, tylko — Adam Mickiewicz...

Wyobraźmy sobie konsternację i wstyd załapanego w tak haniebny sposób krytyka!

O mało, że do pojedynku nie przyszło. Okazało się następnie, że chłosta zasłużona wyszła z żylastej ręki ojca Wincentego...

Od owego czasu stał się Miron ostrożniejszym i oprócz umiłowanej trójcy egzotycznej: Bajrona, Musseta i Heinego, zaczął uważniej nieco przykładać się do studyów nad literaturą swojską.

Umiłował Miron przedewszystkiem dział poetycki, wprowadziwszy do szpalt *Kuryera* owe krótkie, pełne wdzięku zwrotki, które następnie zebrane w jedną całość,

przysporzyły literaturze skarbeżyk pieśni wartości pierwszorzędnej.

I przez szereg lat wielu snuł pieśniarz z bogatej swej fantazyi przędę natehnień istotnych, tyle odmiennych od fabrykatów lirycznych epoki późniejszej, gdzie, z małymi wyjątkami, oprócz misternej budowy wiersza, napotymano pustkę myśli głębszych, igraszkę słów na temat poezyi, wiosny, gwiazd i nie szczerze odczuwanych zachwytów miłosnych.

Widzę jeszcze we mgle niezbyt odległej przeszłości Mirona, gdy otoczony książeczkami pięknie oprawnemi, w gustownie przystrojonym gabinecie, rzucał na papier oderwane myśli, które następnie we wdzięczną rymów przyoblekał szatę.

Para uroczej dziatwy bawiła się w kąciuku tego pokoju, gwarząc swobodnie

i nie przeszkadzając pieśniarzowi w twórczości. Zwracał wtedy ku niej chwilami wzrok pełen błogości i szczęścia, w które wierzył i którego tak gorąco pragnął.

Utworzył w koło siebie atmosferę pogodną spokoju i wrażeń podniosłych, estetycznych.

Był hedonistą, ezcicielem piękna, we wszystkich jego objawach, w naturze, sztuce i w życiu.

Wszystko, cokolwiek ducha ludzkiego podnieść i pokrzepić jest zdolnem, miało w nim gorącego wyznawcę. Wrażeń estetycznych szukał wszędzie i znajdował je w czytaniu arcytworów poetyckich, w pogawędkach z przyjaciółmi, w wycieczkach komnych za miasto, na siwym koniku, w podróżach do Włoch i nad Ren, z kąd przywoził teczkę uroczych pieśni, mienia-

cych się barwnymi odbłaskami fal Adryatyku, lub chmurnych ballad z epoki rycerstwa średniowiecznego...

Było to życie prawdziwego poety, biorącego to życie z najpowabniejszej strony, któremu przelotny uśmiech losu dał wszystko, czego tylko tęskniąca za błękitnym kwiatkiem rojeń młodzieńczych dusza zapragnąć była w stanie.

Ale los jest częstokroć kapryśnym i nie zatrzymuje długo swych uśmiechów na wybranem obliczu...


Jeśli obok młodzieńca pełnego nadziei i talentu, jakim był Miron przed laty, postawicie bezwładną, dożywającą prawie bezwiednie resztek istnienia w samotności, postać zgrzybiałego starca, w którym już nie znać ani cienia tego, co stanowiło powab dni jego jutrznianych — westchnie-

nie nad znikomością wszystkiego, co jest ziemskim, jak czyni piszący te słowa, w chwili, gdy wspomnienie dni wspólnie z nim przeżytych nieodżałowanego Mirona na pamięć mu nasunęło...

---

## X.

Władysław Bogusławski. — Estetyk i dziennikarz. — Fajletony teatralne. — Siły i środki. — Stoń Łuniewski. — *Vis inertiae*. — Natchnienie i chłopak redakcyjny. — Siesty pana Kazimierza.

omyślnym zbiegiem okoliczności, odradzającemu się szybko i z powodzeniem *Kurjerowi*, przybyły z pomocą, w pierwszych już latach nowego jego bytu, niepośledniej wartości literackiej siły.

Taką właśnie siłę stanowił, między innymi, udział Władysława Bogusławskiego w charakterze współpracownika czynnego, najprzód w dziale polityki zagranicznej,

a następnie już wyłącznie w dziedzinie sprawozdań teatralnych szerszego pokroju.

Łącząc z niepospolitem odczytaniem i znajomością języków, (między tem i języka niemieckiego — co mu już w szeregu literatów warszawskich dawało pewną przewagę) i wrodzony smak estetyczny, stanął niebawem Bogusławski w rzędzie pisarzy, których słowo budzi szacunek, uczy myśleć, zastanawiać się i uzasadniać krytycznie poglądy na zadania sztuki.

Studyum jego „Siły i środki sceny naszej“, wydane już w późniejszych latach zawodu pisarskiego Bogusławskiego, stanowi ozdobę krytycznego działu literatury swojskiej, a jakkolwiek obraca się wyłącznie w ciasnej sferze stosunków jednej tylko sceny, może wszelako służyć

jako kodex estetycznych poglądów na doniosłość teatru i jego przedstawicieli.

Szeroki ów pogląd na artyzm literacki i sceniczny zawdzięczał Bogusławski rozległemu swemu odczytaniu. Mało było między literatami warszawskimi, z epoki, o jakiej tu mowa, pisarzy, oddających się, z takim, jak on, zamiłowaniem, studjom nad dziełami, wchodzącymi nie tylko w dziedzinę ich specjalności, lecz potracającymi o wszystkie zadania literatury i sztuki.

Każdy nowy utwór sceniczny, przedstawiony na deskach teatru, stanowił dla Bogusławskiego assumpct do studyów nad klasycznymi pierwowzorami sztuki greckiej i rzymskiej, a jakkolwiek nadmiernie częste wzmianki o Terencyuszu, Plaucie i Arystofanesie nie licowały niejednokrotnie z nagłówkiem pisma, w którym się

drukowały, lecz dla Bogusławskiego areną popisu nie były umysły maluczkie, lecz ów wybór arystokracji duchowej, która lubi poprzestawać z pokrewnymi sobie duchami i ich tylko przemawiać językiem.

Oprócz sprawozdań teatralnych uprawiał Bogusławski, jako sam muzykalny, i dział sprawozdań z koncertów, a sąd jego wytrawny stanowił nieraz o losie i powodzeniu artystów estradowych.

W życiu koleżeńskim nieco, jak to mówią, „zapięty“, mało się towarzyszom udzielał i tem wyrobił sobie opinię człowieka, który w zakątkach swej jaźni duchowej pielęgnuje zawsze, względem kogoś lub czegoś, albo ukrytą sympatyę, lub też przystrojoną formułkami konwenansu — nieprzyjaźń . . .

Pokrewnym Bogusławskiemu duchowo,

choć mniej popularnego nazwiska, był między współpracownikami *Kuryera* pisarz działalności dorywczej, niesystematycznej, i właśnie z powodu przygodnego zaliczenia się do ciężkiej kawaleryi dziennikarskiej — słoniem nazywany: Kazimierz Łuniewski.

Wytworny stylista i dyletant literacki, z zawodu prawnik, niedługo bawił Łuniewski w gronie redakcyjnym *Kuryera* i po napisaniu kilkunastu fejletonów, oraz studyów literackich, wzorowo pod względem formy i treści opracowanych, uznał swą karierę piśmienniczą za skończoną i cofnął się do zacisza wiejskiego.

W sprzeczności z upodobaniem literatów do pióra, Łuniewski z niechęcią i tylko pod przymusem osobistym czatującego na schodach jego mieszkania

chłopaka redakcyjnego, oddawał zapisane paski papieru do składania. Zawsze o mi- nie człowieka niedospanego, leżąc całemi dniami na kanapie, „zaczytywał się“, w li- teralnem tego słowa znaczeniu, masami tomów z najróżnorodniejszych działów be- letrystyki.

Z takim usposobieniem do lenistwa, do bezwładności, do owej siły, którą kla- sycy mianem — *vis inertiae* nacechowali, licowało harmonijnie i oblicze sympaty- cznego pana Kazimierza, zawsze nachmu- rzone, lecz rozjaśniające się tylko pod wpływem wrażeń estetycznych, jakie w nim rozmowa o nowej książce, o nowym poc- macie, lub też o lepszej sztuce oryginalnej budziła.

Łuniewski nie miał specyalności, nie oddawał się wyłącznie jednemu działowi

gazeciarskiemu, ze szczególniejszem nad inne upodobaniem.

Robił wszystko na obstalunek: i przegląd polityczny i sprawozdanie literackie lub teatralne i kronikę potoczną, lecz wszystko, cokolwiek, przewyciężywszy wrodzoną sobie ociężałość, skreślił, nosiło na sobie cechę niepośledniego talentu i wyrobienia pisarskiego i budziło żal mimowolny w czytelniku, że wybitnej tej sile brakło iskry energii i twórczości, któraby się mogła w piśmiennictwie zaznaczyć trwalszym nad efemeryczne artykuły pomnikiem.

Pomimo tak przelotnego i opornego udziału w robocie dziennikarskiej, pozostawił po sobie Łuniewski żywe w pamięci rówieśników wspomnienie i żal

niewymowny w sercu redaktora Szymanowskiego, iż mu się nie udało wprzódz tyle utalentowanego pracownika, na czas dłuższy, do dziennikarskiego rydwanu.

---



## XI.

Stanisław Krzemiński. — Filozofia i życie. — Dzieło niedokończone. — Le mieux c'est l'ennemi du bien. — Erudycja. — Arena właściwsza. — Człowiek i kolega.

**N**a różnokolorowym tle typów i charakterów młodego gronka współpracowników *Kuryera* wyraziście i dodatnio zarysowywała się postać człowieka, któremu zalety umysłu i serca skarbiły więcej zwolenników i wielbicieli, aniżeli obojętnych, a zapowiadały literaturze więcej, aniżeli dały...

Z fizyognomii, z rodzaju wymowy i treści wyznawanych zasad, należał Stanisław Krzemiński do kategorii doktrynerów, pragnących życie towarzyskie i publiczne organizować według naukowej modły, według Kantowskiego imperativu kategorycznego, bez względu na warunki szarej powszedniości, w jakich się toż życie zazwyczaj obraca...

Uzupełniwszy naukę Szkoły Głównej warszawskiej, wykładami Heidelbergkiej wszechniczy, wyniósł ztamtąd Krzemiński podkład subtelnej i pedantycznej filozofii, która działalności jego nadała następnie kierunek nieco jednostronny. Surowość wymagań względem innych, stosował Krzemiński przede wszystkim względem siebie, do tego stopnia, że zawsze niezadowolony z tego, co już zrobił, rzucał pracę w po-

łowie i rozpoczynał ją nanowo, aby znowu jej nie wykończyć i na szersze zakreślać rozmiary.

Pogłębianie studyów w szczegółach najdrobiazgowszych, sprawiło, że jedna z prac większych Krzemińskiego, od lat dawnych rozpoczęta i kilkakrotnie przetwarzana i przeinaczana, do dziś dnia jeszcze światła Bożego nie ogląda...

Krzemiński był wcieleniem erudyty książkowego. Spory o datę, o chwilę niemal wydarzonego wypadku dziejowego, rozstrzygała zawsze wyjątkowa pamięć pana Stanisława.

Czerpał on z niej, jak z bogatej skarbnicy, gwoli pożytkowi chwilowemu kolegów, zamiast utrwalania rezultatów rozległej swej wiedzy historycznej i filozoficznej na kartach dzieł literackich.

Przy takiej wszelako metodzie badań, wytwarzających pewną oschłość i pedantyzm, dusza Krzemińskiego wznosiła się na skrzydłach poezji w niedościgłe sfery ideału. Mało który z rówieśników Krzemińskiego znał tak dokładnie historię polityczną i piśmienniczą swego narodu, jak on.

Erudycya ta rozpraszała się niestety po artykułach pism codziennych i tygodniowych, gdzie tonęła bezpowrotnie i bez śladu, ze szkodą dla autora i jego zwolenników.

Ujawniała się ona w owych krótkich, lecz treściwych sprawozdaniach z polityki zagranicznej, w sprawozdaniach z dzieł literatury swojskiej i obcej. Nietylko sam Krzemiński rozwijał w tak ciasnych granicach swą działalność dorywczą, piśmien-

niczą. I wielu innych, jemu podobnych, dla których najodpowiedniejszą areną byłaby katedra uniwersytecka, gdzie zdolności ich i kierunek badań mogłyby się należycie rozwinąć i pogłębić, z chlubą dla nauki, marnowało siły i łamało orle skrzydła w walce z codziennością szarą, z nieodpowiednimi warunkami bytu.

Jako człowiek odznaczał się Krzemieński zaernością charakteru i podniosłością uczuć. Był on i pozostał mężem zasad skryzalizowanych w długich rozmyślaniach i obserwacji faktów społecznych.

Ani czas, ani biegnące życie, nie zmieniły ani na jotę owego entuzjazmu Stanisława dla wszystkiego, co w życiu doczesnym jest pięknem, dobrem, szlachetnym i podniosłym.

Była to jedna z sympatyczniejszych


postaci owej grupy pisarzy, która, wśród walki o zasady i cele społeczne z siódmego lat dziesiątka, umiała zaskarżyć sobie poszanowanie bezwzględne — nawet w obozie przeciwników.

---



## XII.

Binom Newtona i literatura. — Bolesław Prus. — Treny na śmierć Azorka. — Pierwsza wizyta. — Delegacja do Prusa — Great attraction. — Partyjki szachowe. — Papierówki. — Talent z bożej łaski. — Realizm dojrzości. — Kroniki tygodniowe.

 śród adeptów zawodu literackiego zespolonych nicią sympatyi z *Kurjerem Warszawskim*, który, mimo swego charakteru przeważnie brukowego, usiłował nadać sobie ton prowodyra w dziennikarstwie warszawskim, wyróżniali się liczbą i ruchliwością wychowańcy b. Szkoły Głównej i to nie z wydziału filologicznego, lecz z wydziałów: prawnego i matematy-

cznego, bezpośrednio z literaturą lżejszego pokroju nie zestosunkowanych.

W motyla barwnoskrzydłego, literackiego, z poczwarki matematycznej — przedzierzgnął się najniespodziewaniej, na oko niepozorny, lecz niewątpliwie jeden z najzdolniejszych, w powołanej grupie pracowników — Alexander Głowacki, *vulgo* Bolesław Prus.

Dla tych, którzy z zajęciem śledzili szybki rozwój talentu Prusa, począwszy od pierwszych jego objawów w zbiorku: *To i owo*, aż do wspaniałych obrazów „*Placówki*“ i „*Lalki*“, już pierwsze próby literackie owego zbiega z pod sztandaru binomu Newtona i rachunku różniczkowego, zdradzały niepospolite — oryginalnością formy, języka i treści, uzdolnienie pisarskie.

Pewna trzeźwość sądu i wyrazistość myśli, właściwe ludziom, którzy mieli kiedykolwiek bliższe zetknięcie z matematyką, cechowały już pierwociny talentu Prusa.

Właściwość ta, utrwaliwszy się szeregiem prac, uczyniła Prusa jednym z naj-  
ulubieńszych pisarzy i nastroiła ku niemu sympatyczne uczucie czytelników.

Szymanowski, doskonały znawca ludzi i talentów, odrazu ocenił w Prusie pożyteczną literacką siłę. Artykuł zamieszczony w *Musze Kaufmana*, pod tyt.: Na śmierć Azorka trenów pięcioro, zwrócił na siebie uwagę pana Wacława i skłonił do wysłania Prusowi zaproszenia, by przyjął współpracownictwo w *Kuryerze*.

Już poprzednio miał Prus sposobność zetknięcia się z gronem redakcyjnym piśma, w którym niezadługo miał zająć rolę

pierwszego skrzypka; lecz był to stosunek przelotny, nie literacki.

Z powodu jakiejś sprzeczki w jadłodajni, ongi Czuleńskiego, pojawiło się razu pewnego w redakcyi *Kuryera* dwóch czarno, po samą szyję, ubranych panów, z których jeden, w ciemnych okularach, z kędzierzawą, bezładnie kręcącą się czupryną, a drugi — niski i garbaty, mieli postać grajków z instytutu ociemniałych.

Panowie ci zjawili się w charakterze sekundantów, celem wyzwania Łuniewskiego na pojedynek. Jednym z nich był Prus, a drugim — Leopold Mikulski.

Była to pierwsza wizyta Prusa w progach *Kuryera Warszawskiego*.

Jakkolwiek do pojedynku, z powodu braku poważnej do niego przyczyny, nie przyszło, jednakże długo jeszcze po owej

wizycie trzymał się Prus w należytem od *Kuryera* oddaleniu.

Po przełamaniu pierwszych lodów, związał się między Szymanowskim a Prusem stosunek zażyłości ścisłej w r. 1874, w którym współpracownictwo swoje rozpoczął Prus od szeregu „Szkiców Warszawskich“. Szkie: Pod szyc h t a m i wybornie zobrazował ówczesne Powiśle. Od r. 1875 rozpoczęły się słynne Kroniki tygodniowe, które autorowi ich i piśmie zjednały wielu zwolenników. Zaczęto uważać Prusa za benjaminka redakcyjnego, bez którego już się obejść nie podobna było.

Sympatya tą darzyli w pierwszym rzędzie utalentowanego pisarza koledzy jego, dla których prawość charakteru, niezwykle humor i oryginalność myśli i czynów

Prusa stanowiły *great attraction* zebrań redakcyjnych *Kuryera*.

Rozpoczęły się owe zebrania południowe od partyjki szachów, rozegrywanej między Szymanowskim a Prusem, w ciasnym pokoiku, zastępującym salę przyjęć.

Szymanowski uważał się za niezwyciężonego szachistę, pomimo sromotnych pogromów, jakimi się jego zapasy z Prusem kończyły.

Dla znawców i nieznawców była owa walka roznamiętnionych graczy źródłem nieustannej wesołości. Przysłuchiwano się z zajęciem dowcipnym uwagom Prusa, rzucającym pod adresem redaktora; przyglądano się parze grających, z których jeden, pod pokrywką pewności siebie, tłumił oburzenie i rozpacz, gdy mu partner przy

akompaniamencie dowcipnych a zgryźliwych przymówek, sprzątał z przed nosa laufra, konika i wieżę, osaczając kulawą figurkę, wyobrażającą króla, zastępem nieubłaganych pionków, a bezwzględny Fryze opatrywał komentarzami każdą taką porażkę.

Rozpoczęta we dwójkę partya, kończyła się zazwyczaj tłumnem zebraniem tak zwanej „galeryi“ (*kibitze*), która nie należąc do gry, głośnie po nad głowami graczy prowadziła dyskusye, przerywane kiedy niekiedy humorystycznym zaklęciem Prusa, palącego bez przerwy swoje nadłamane i pomiętoszone „p a p i r ó w k i“ i natrzęsającego się z zimną krwią nad namiętными ruchami rąk redaktora.

Pod maską humorysty i obserwatora faktów życiowych krył się w Prusie za-

kapturzony poeta. Uważając np. Anhellego za panoramę do fantastycznego baletu, opponując przeciw stawianiu pomnika Mickiewiczowi funduszami składkowemi, którychby, zdaniem Prusa, można było użyć w sposób dla społeczeństwa „produkcyjniejszy,” wygłaszając teorię stylu, według której ten tylko język jest dobry, silny, jedrny, który zawiera w każdym stu wyrazach pewien ściśle oznaczony procent rzeczowników, przymiotników i czasowników, był z tem wszystkim Prus w poglądach swoich i w całej swej działalności — poetą.

Poezja jego nie ujawniała się bynajmniej w wierszoróbstwie, o którym najdziwniejsze wygłaszał opinie, a nawet wyśmiewał głośno tych, co w dobieraniu jednorodnych i harmonijnych końcówek

upatrywali najwyższe zadanie drukowanego słowa; lecz poezja ta zdradzała się w subtelnym odczuwaniu drgnień duszy człowieczej, w świetnym obrazowaniu natury i głębin uczuć ludzkich, w odczuwaniu nędzy maluczkich i poniżonych...

Ów talent samorodny, talent „z Bożej łaski“, przypominający Dickensa, nie czerpał wzorów z ustalonych typów literatury wszechświatowej, lecz żywił się i podtrzymywał obserwacją własną, współczuciem żywym dla wszystkiego, co, pod niepozorną, a nawet nieestetyczną postacią, kryło skarby niewyczerpane, tak zwanych „dokumentów ludzkich“.

Kierunek realistyczny twórczości Prusa ujawnił się na długo przed zapanowaniem owej mody, najprzód w powieściopisarstwie francuskim, a następnie i w litera-

turze wszechświatowej, lecz był to realizm szlachetny, nie lubujący się wyłącznie w brzydkich, fizyologicznych objawach życia; odtwarzający toż życie z dokładnością fotografa-artysty.

Szezerość uczucia, dowcip, humor, prawda życiowa, subtelna obserwacja śmieszności ludzkich, język pełen prostoty i oryginalnych zwrotów, cechowały wszystkie prace utalentowanego pisarza, począwszy od owych rzewnych obrazków z życia mieszczańskiego i ludowego, aż do przygodnych kronik tygodniowych, które stanowiły ucztę duchową dla czytelników i utrwaliły szybko rosnącą popularność *Kuryera*.

W luźnych tych pogadankach, okraszonych niezrównanym, starszlacheckim humorem, poruszał Prus pod formą lekką

najważniejsze zadania społeczne i torował  
niejednokrotnie drogę do stosowania w co-  
dziennem, praktycznem życiu, tych wska-  
zówek humanitarnych, którym, w zaczątkach  
swej karyery piśmienniczej, hołdował.

---



### XIII.

Sfery teatralne. — Komedypisarze. — Kazio Zalewski. —  
Prawnik-dziennikarz. — Spirytus flat — Wzajemna adora-  
cja. — Mistrz i uczeń.

**N**ie tylko z racji sąsiedztwa bliskiego z teatrami warszawskimi, lecz i z tradycyi, od czasów Dmuszewskiego i Stanisława Bogusławskiego, utrzymywał *Kuryer Szymanowski* ścisłe z teatralnymi sferami stosunki.

Jakkolwiek uważano powszechnie Szymanowskiego za literata, kronikarza i dziennikarza, on jednak osobiście uważał się

przedewszystkiem za — dramaturga i kome-  
dyopisarza, a w drugim rzędzie dopiero  
za redaktora pisma brukowego.

Złożyło się też zbiegiem okoliczności,  
że żywioł teatralny przeważał zwykle w re-  
dakcyi *Kuryera Warszawskiego*. Niepośle-  
dnie siły, w rodzaju Jana Chęcińskiego,  
Józefa Blizińskiego i wielu innych, miały  
ognisko swoje w piśmie, które będąc od-  
zwierciedleniem upodobań warszawiaków,  
stawiało zawsze sprawy teatralne na wy-  
datniejszym miejscu.

Gromadziły się też przy Szymanowskim  
i siły młodsze dramaturgiczne, którym  
sądzone było zająć niezadługo poważne  
w sztuce swojskiej stanowisko.

Pierwsze kroki na literackiej arenie  
stawiać zaczął w *Kurjerze Warszawskim*

i przyszedł komedyopisarz szerokiego rozgłosu — Kazimierz Zalewski.

Jako młodzieńcy student wydziału prawa i administracji Szkoły Głównej, krępy i niski brunecik, na wysokich zresztą obcasach, zjawiał się młody „Kazik“ w redakcyi, najprzód z wierszykami, opiewającemi nędzę kieszeniową literatów, a następnie, jako autor artykułków społecznych i sprawozdawca sztuki malarskiej, skarbił sobie względy redaktora gorącemi pochwałami, palonemi wrzekomo niepośledniemu dramaturgicznemu jego talentowi.

Wspólność upodobań do komedyopisarstwa, wytworność języka literackiego, pewna przejrzystość i jasność stylu niewymuszonego, oddającego z niezaprzeczoną maestryą najsubtelniejsze nawet pojęcia w sposób zrozumiały i potoczny, a przy-

tem niezwykła w młodzieńcu pewność siebie, zjednały niebawem Zalewskiemu poczesne miejsce między zastępem otaczających redaktora młodych pracowników.

Nie dogadzała owa skłonność Kazika do literatury, aspiracyom i widokom rodzicielskim.

Mecenas Zalewski, jeden z wybitniejszych w palestrze miejscowej prawników, pragnął dla swego syna innych, pozytywniejszych wawrzynów; pragnął mieć w nim pomocnego w wyszukiwaniu arkanów kratkowych działacza, lecz Kazio, trzymając się zasady: *spiritus flat ubi vult*, przez ramię spoglądał na kodexa cywilne i karne, na uroki „przygotowawczych i stanowczych przysądzeń“, na plany „klastyfikacyjne i dystrybucyjne“ i wyrwał się jak młode orle na wyżyny sławy ko-

medyopisarskiej, roztaczające tak wspinałe dla żarliwych adeptów sztuki horyzonty.

Schlebiało to Szymanowskiemu, gdy mu się młodzi zwierzali poufnie z pomysłów komedyopisarskich. Jedną z pierwszych komedyj Zalewskiego: „Z postępem“, napisana wierszem, w której odbijały się silnie echa Fredrowskiego języka, przeszła szczęśliwie przez próbę ogniową sądu Szymanowskiego.

Lecz takie uznanie wymagało wzajemności ze strony protegowanych...

Musieli oni, pod groźbą cofnięcia łaskawych względów, palić kadzidła talentowi komedyopisarskiemu redaktora, wysławiać jego rymy kunsztowne, grać rolę uczniów, kierujących się w swych robotach wskazówkami mistrza i niczem nie zdradzać

przekonania o własnej wyższości nad rutynicznym i mało oryginalności ujawniającem uzdolnieniem Szymanowskiego do sztuki komedyopisarskiej.

Po za obrębem owych zakulisowych sympatyj, należał Zalewski do szczerych przyjaciół redaktora i wzajemnie Szymanowski przy każdej sposobności powtarzał, że Kazimierza do najlepszych i najpojętniejszych swoich zalicza „uczniów“. Kazio na pozór dumnym był z takiego przekonania Szymanowskiego, co jednak nie przeszkadzało, że po za plecami swego „mistrza“ filuternie przymrużał oko i półgębkiem wątpliwości pewne w tym kierunku wynurzał...

---



#### XIV.

Edward Lubowski. — Nietoperze. — Współzawodnictwo. —  
Maryan Gawalewicz. — Benjaminek redakcyjny. — Milusińscy.

**N**uż odrodzony z popiołów *Kurjer  
Warszawski* rozwiniętymi żaglami  
płynął po szerokim morzu popularności,  
gdy do załogi jego przystał zdolny i reno-  
mowany pisarz — Edward Lubowski.

Jakkolwiek słynną komedią swoją „Nie-  
toperze“ zdystansował niebawem na zna-  
czną przestrzeń Szymanowskiego, jednakże,  
jako oględny, przezorny i o przyszłość  
dbający pisarz, garnał się chętnie do sze-

regu akolytów pana Wacława, głosząc jego sławę i niedościgłe mistrzostwo w znawstwie sceny.

Udział Lubowskiego w dziennikarstwie ujawniał się w sposób charakterystyczny.

Nie było pisma rozpoczynającego byt nowy, w któremby Lubowski nie zaliczał się do współpracowników. Oprócz stalszego udziału w tygodnikach i miesięcznikach, gdzie zamieszczał prace oryginalne i tłumaczone (*Kłosa, Bibliot. Warsz.*), należał Lubowski i do pism codziennych, zrazu jako pracownik stały, następnie jako przygodny, a w końcu uważał się jedynie za gościa, składającego redakcyi towarzyskie wizyty.

Właściwość ta była wynikiem nerwowego usposobienia pisarza i jego aspiracyj do prac podnioślejszych i trwalszej war-

tości, którym reporterska działalność dziennikarska nie dogadzała.

Zamieściwszy kilka artykułów przygodnych w jakim piśmie, zniknął niespodziewanie i przeniósł swoją działalność gdzie indziej.

W *Kuryerze Warszawskim* trzymał się Lubowski względnie najdłużej i on to artykułem swoim o „prasie rewolwerowej“, wymierzonym przeciw obozowi „młodych“, rozpoczął kampanię, która się zwycięstwem „pozytywistów“ zakończyła.

Nie przeszkadzało to bynajmniej, że i obóz młodych cieszył się współpracownictwem Lubowskiego, który pracę dziennikarską uważał jedynie za — przygodną i wyrabiającą literackie stosunki; lecz dla którego jedynie sztuka dramatyczna stanowiła

powab i doniosłość umiłowanego i z powodzeniem uprawianego zawodu.

Z racyi nawet tego ostatniego zamiłowania, nie obywało się, po za kulisami konwenansu i towarzyskości, bez pewnej głuchej rywalizacyi między Lubowskim, Szymanowskim i Zalewskim, a dla stojących po za obrębem owych współzawodniczych aspiracyj przyjaciół *Kuryera* zdawać się nieraz mogło, że powodzenie sztuki Zalewskiego było manifestacją przeciw Lubowskiemu i wzajemnie...

W gruncie rzeczy była to rywalizacya szlachetna o zdobycie palmy pierwszeństwa w zawodzie komedyopisarskim, która nie przynosiła ujmy współzawodnikom, a dając scenie krajowej coraz częściej utwory oryginalne, usuwała na plan dalszy fabrykaty francuskie, obracające się

wyłącznie około tematu niewierności małżeńskiej.

W należytem oddaleniu od grupy komedyopisarzy trzymał się zrazu młodziutki, pulchniutki, o twarzy czce cheruba — Maryan Gawalewicz.

Nie marząc pierwiastkowo o sławie dramaturga i komedyopisarza, która z czasem uwieńczyć miała sympatycznego pisarza, nawet na deskach sceny zagranicznej, hołdował Gawalewicz przedewszystkiem — liryce i w krótkich, lecz wonią świeżości i wdzięku nacechowanych zwrotkach, skromnie literką *n.* podznaczanych, opiewał uroki wiosny, lazurowych oczu bogdanek i różowych buziaczków „milusińskich“.

Estetyk, o subtelnem poczuciu i zamiłowaniu piękna, znawca języków europej-

skich najpotrzebniejszych, wytworny stylistą, lubujący się w języku salonów i słodkich gruchań miłosnych, był i Gawalewicz ulubieńcem kolegów redakcyjnych *Kuryera*.

Słodycz obejścia, towarzyskość i pięknie umeblowany literackim wykształceniem umysł Maryana, odbijały się w wykończonych, drobnych utworach tego pisarza.

Zanim działalność rozwinął w kierunku powieściopisarskim i dramatycznym na szerszą skalę — próbował Gawalewicz biegłości pióra i w innych kierunkach.

Był wzorowym i sumiennym kronikarzem wypadków bieżących, był sprawozdawcą dzieł literackich, krytykiem, poetą i nowelistą, słowem, przedstawiał typ literata wszechstronnego i z tego względu

poszukiwanym był chętnie przez wydawców pism peryodycznych, łakomych zazwyczaj na każdy świeżo pojawiający się talent.

---



## XV.

Wiktor Gomulicki. — Poezya i życie. — Umiłowania. — Nerwy i robota dziennikarska. — Pamiętna chwila. — El moie rachmim.

**S**wietną i natchnioną recenzją o obrazie Matejki „Kopernik“, rozpoczął poeta Wiktor Gomulicki niedługotrwałą swą działalność w *Kurjerze*, wprowadzony do redakcyi tego pisma przez Kazimierza Łuniewskiego.

Jakby w stwierdzeniu faktu, że drogie kamienie rzadko kiedy wielkością się odznaczają i że wśród świata ptaszcęgo

kolibri są najmniejszymi, ginęła drobna postać Gomulickiego wśród wielu szarych wróbli dziennikarskich, które napępniały warsztat redakcyjny wesołym ówierkotaniem.

Pod niepozorną maską skromnego pracownika, kryły się w Gomulickim przezyste skarby poetyckich natchnień i potęgi słowa.

Z generacyi poetów młodego pokolenia, wyrosłej na bruku warszawskim, on tylko, wspólnie z Mironem, mają zapewnione w Walhalli Apollinowej najwydatniejsze nisze, gdzie biusty ich, spowite wieńcem ogólnego uznania, budzić będą wspomnienia o owych harmonijnych pieśniach, jakimi młodość naszą czarowali.

Krakowska brama, Stare-miasto, uroczy zaułek Kanonii, Powiśle, wieża Nowego

miasta, posąg Zygmunta, ulice: Ś-to Jańska i Piekarska — były źródłem przeczystych natchnień poetyckich dla naszego pieśniarza.

Ukochawszy całą duszą ów zamierzchły świat wspomnień, wypiewał on na cześć starej Warszawy cykl uroczych zwrotek, oszlifowanych jak dyamenty i jak dyamenty iskrzących się barwami tęczy.

Jak roślina delikatna osadzona w gruncie piaszczystym — pracy dla chleba powszedniego, szamotał się duch poety z warunkami przykrej rzeczywistości i jak owa roślina, tęskniąc do słońca, roił poeta przy zmudnej i nudnej pracy dziennikarskiej — plany do poematów, snuł natchnione peany na cześć ideałów poezji, które mu tak rażąco z dzisiejszością przypominały kontrast:

„Zawsze mi twardą będzie ziemska gleba  
I fałszywemi ziemskiej pieśni tony,  
Bo wiem, że, aby w zgodzie niezmaconej  
Żyć z przeznaczeniem bliskim i dalekiem,  
I aby nie drzeć... na to być potrzeba  
Czemś mniej, czemś więcej, lecz już — nie czło-  
[wiekiem!

Lira Gomulickiego, choć najbardziej tonem zgorzkniałym i bogactwem przenośni do Słowackiego zbliżona, nie była echem egzotycznego *Weltschmerzu*, lecz rozdźwięk jej z rzeczywistością był następstwem nerwowego usposobienia pieśniarza, który rojeń swoich do prozy życia przystosować nie umiał, a może i — nie mógł.

Jak owa igielka magesowa, zawsze ku północy zwrócona, drga niespokojnie pod wpływem, choćby zdaleka nań działającego, magesu, tak i nasz poeta lękał się zetknięcia z prozą dziennikarskiej ro-

boty i zamknięty w sobie, rozmarzony, zawsze smutny i rozgoryczony, odrabiał redakcyjne pensum przymusowo i jakby czapką legendową niewidzialności okryty, przesuwał się między gronem towarzyszy, by w zaciszu swej facyjki snuć cudne pieśni i oddychać atmosferą poetyckich zachwyków.

Jedna pamiętna chwila z życia Gomulickiego utkwiała mi w umyśle, jako charakterystyczny szczegół do nerwowego usposobienia poety.

Niewiadomo z jakiej błahej przyczyny opuścił razu pewnego Gomulicki redakcję *Kurjera* i zerwał z nią dyplomatyczne stosunki.

Napróżno dobadywano się przyczyn zerwania.

Przyzwyczajonym do drażliwości pie-

śniarza nie wydało się to zresztą nadzwyczajnością i z żalem oswojono się z myślą, że tyle ceniony i pożądaný pracownik przeniesie swoje lary i penaty do innego pisma.

Pewnego dnia w skrzynce redakcyjnej znaleziono rękopis na szarym papierze, przez nikogo nie podpisany.

Miano już ów papier, jako anonimowy, rzucić do kosza, gdy pan Wacław od niechcienia rzucił okiem na wiersze, jakimi rękopis był zasiany i przeczytawszy parę strof początkowych, z najwyższym uwielbieniem zawołał:

— Zrodził się światu poeta!

Zdziwienie i zachwyty ogarnęły słuchaczami po wysłuchaniu odczytanego głośno poematu.

Postanowiono odszukać nieznanego pie-

śniarza, a tymczasem pan Wacław wydał zlecenie bezzwłocznego wydrukowania podzuczonego rękopisu.

Ow bezimienny utwór nosił tytuł: *El mole rachmim*.

---



## XVI.

Antyteza. — Adam Niemirowski. — Bibliografia notaryatu. — Poliglottyzm. — Dziwny rachunek. — Franciszek Olszewski. — Bronisław Zawadzki. — Czesław. — Teodor Jeske Choiński. — Przyrodnik kuryerowy. — Asekuracya i apopleksya. — Fillpowski. — Szober. — Jeleński. — Goraj. — Aron szaradzista.



Antytezą poetycznej osobistości Gomułckiego był gruby, opasły, przygarbiony, o legendowej postaci ojca Gaudentego, z przymieszką Falstafa — Adam Niemirowski.

Gdyby losy pozwoliły były panu Adamowi urodzić się w średnich wiekach, mielibyśmy w duchowym spadku po nim —

bibliotekę dzieł erudycyjnych, oprawionych w pergamin, drukowanych gotykiem, a obejmujących najdokładniejsze wyliczenie tytułów wszelkich rozpraw naukowych, jakie wydały ze siebie mózgi człowiecze, počąwszy od zaczątków kultury, z dokładnem podaniem treści, gloss, komentarzy i wariantów tych archaicznych za-  
bytków...

Jako dziecię wieku swego, a przytem gruntownej wiedzy prawnik zawodowy, nie mógł naturalnie spełnić powyższego zadania pan Adam, lecz natomiast wziął na swe barki dział bibliograficzny i w olbrzymich rozmiarach tomach postanowił objąć wszystko, cokolwiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek, napisano w kwestyi... notaryatu.

Pracę tak mozolną, której mógłby

chyba podjąć się człowiek, skazany na dożywotnie więzienie celkowe, skutecznił pan Adam z mrówczą cierpliwością i wydał własnym, kosztownym nakładem, w tem przekonaniu, że może uda mu się zjednać dla wydawnictwa choćby pięciu prenumeratorów, co też, w rzeczy samej, się spełniło...

Praca — dla pracy, praca dla — idei, oto była przewodnia modła działalności niez mordowanego erudyty.

Szukał on jej wszędzie, wynajdując dla umysłu swego najprzeróżniejsze męczarnie, byleby tylko nie odpoczywał w gnuśności.

Nie wystarczała panu Adamowi praca na polu prawniczym: podjął się więc nauki języków najmniej znanych i praktykowanych: szwedzkiego, duńskiego i prawdopo-

dobnie zabrałby się z czasem do układu gwary grenlandczyków, aby wypełnić ów nieznaną jeszcze, nie tylko u nas, dział literatury, a tymczasem, nauczwszy się hiszpańskiego języka, przysyłał sprawozdania naukowe do hiszpańskiej akademii i także sprawozdania w języku angielskim do czasopism: *The Academy* i *Athe-neum*, rozpowszechniając wiadomości o nas i naszej literaturze na wszechświatowej arenie.

Był przytem pan Adam kolekcyonistą starych gazet i posiadał jeden z bogatszych zbiorów pism krajowych, znając na pamięć zawartość ich i wszystkie tytuły artykułów, jakie w sobie mieściły.

Oszczędny do przesady, kreślił artykuły do *Kurjera*, po większej części naukowej i informacyjnej treści, na odwrot-

nych stronicach rachunków kawalersko-gospodarskich, tak, że znajdowano nieraz po jednej stronie kawałka papieru notatkę: „za upranie kolnieżyku w i kosiul Złp. 2 gr. 7.“, a po drugiej — erudycyjny wywód o początkach hipoteki w Polsce...

Wolne od pracy zawodowej chwile poświęcał p. Adam współpracownictwu w pismach czasowych, przeważnie jednak zajmował się przez lat wiele, wspólnie z Pługiem i Krzemińskim, redakcją *Kłósów*, zamieszczając tam gruntowne, piękną polszczyzną kreślone, artykuły naukowe.

Dział naukowy *Kuryera* obrabiali również: Franciszek Olszewski i Bronisław Zawadzki.

Pierwszemu oddany był dział ekonomiczny i statystyczny, wysunięty przez

Szymanowskiego na przednie stanowisko w rozkładzie artykułów *Kuryera*; drugi, zajmował się przeważnie artykułami politycznej treści i recenzjami literackimi.

Olszewski, pracownik zdolny, energiczny, rozmiłowany w statystyce, umiał cyfrom, któremi artykuły swe wypchniał, nadawać formę przystępną dla przeciętnych umysłów czytelników i kreśląc np. przebieg i rezultaty handlu przy i wywozowego, lub też statystykę sądownictwa gminnego, poruszał kwestye ważniejsze, zwracał uwagę na doniosłość przedmiotu i zjednywał dla pisma uznanie ze strony fachowców.

Bronisław Zawadzki, cichy, potulny o wykwintnych, łagodnych manierach towarzysza, nadawał artykułom swoim woń subtelności i amplifikacyi słowa, właściwą

estetykom, opatrując każdy rzeczownik szeregiem przymiotników, podnoszących jego estetyczną, piękną i sympatyczną stronę.

Do szeregowców *Kuryera* zapisał się i p. Czesław (Jankowski) o bujnej, blond czuprynie, sobowtór Mirona, przystojny młodzian, zakapturzony Heinista... Rozkochany w epoce minnesängerów, kreślił ustawicznie arabski „na listku róży“ i opiewał chwałę i niedolę lutnisty, któremu surowy, siwobrody król, niebaczny na łzy królowny, rozkazuje powędrować „hen“, daleko, w świat...

Nie trzymając się chronologicznego układu w opisie stopniowego rozszerzania się gremium redakcyjnego, wspomnieć wydana w tem miejscu zaliczenie się p. Je-

ske-Choińskiego do szeregu współpracowników *Kuryera*.

Usposobienia polemicznego, wybuchowego, czuł się Choiński jakby nie w swoim żywiole, wśród pisma, które polemik unikało — z zasady, starając się więcej o przyjaciół, aniżeli o przeciwników, których, i bez tego, wzrastające ciągle powodzenie materialne wydawnictwa mu przysparzało.

Wstąpił Choiński do *Kuryera* na lat parę przed zgonem Szymanowskiego, przedjednany pochlebną recenzją, jaką o „Przedniej straży“ napisał Wł. Bogusławski. Od tej chwili stał się Choiński z przeciwnika zwolennikiem Szymanowskiego i przyniósł mu w dani pióro cięte, wprawne, pewną swobodę i niezależność w wygłaszaniu opinij o sprawach społecznych i literackich, nie

licujących częstokroć z atmosferą pisma brukowego, jaka się nad *Kuryerem* roztaczała...

Dział przyrodniczy miał przedstawiciela w zbytnio bladym i zbytnio czarnym, o wschodnim typie, lecz o południowej fantazyi, dowcipnym Bronisławie Rajchmanie.

Wszelakie katastrofy niebieskie, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, elektryczne zjawiska, zaćmienia słońca, gwiazd i księżyca, spadki meteorów i kul ognistych, wszelakie miotły kometowe — wszystko to oddane było w wyłączną dzierżawę panu Bronisławowi, pod warunkiem spłacania tenuty dzierżawnej artykułami pożywnymi, o barwie migotliwej, o wadze tak małej, by nie zaciężyły zbytnio na mózgownicach „kamieniczników“, brzydzą-

cyeh się z zasady katastrofami niebieskimi, jako dającymi asumpt lokatorom do nieregularnego płacenia komornianych czynszów...

Lecz nie tylko katastrofy w sferach górnych należały do działu p. Bronisława. Jeśli się szczęśliwie zdarzyło, że kociół parowy wysadzonym został w powietrze na Solcu, p. Bronisław spieszył uradowany na miejsce wypadku i donosił redakcyi o popłochu wywołanym tym wypadkiem między żydkami, a uśmierzoną wskutek okrzyku przestrogi: *Der Rząd gajt!*

Inny znowu Bronisław, o przewróconem na wspak nazwisku: *Lezyam*, asekurował w *Kuryerze* życie czytelników, przedstawiając im przyjemności i pożytek natchmiastowej apopleksyi, po opłaceniu

choćby jednej wkładki „ubezpieczeniowej“ ...

Uzupełniali tę grupę: sumienny i pracowity sprawozdawca wiadomości zamiejscowych, Kazimierz Filipowski, rodzaj *pièce de resistance* w menu redakcyjnym, siła pierwszorzędna w kierowaniu informacyjnym działem pisma, pracownik biegły w prowadzeniu kwerend literackich, ilekroć wypadało o jakiejś zagranicznej znakomości podać w ścisłych ramach odpowiednią informację; dalej, blady i wystraszony, trzęsący się, jak osika na drzewie, Feliks Szober, twórca „bomb“ ogródkowych, nieśmiertelny ojciec Barnaby Fafuly i Grojseszyka, skrzętny zbieracz wiadomości ze sfer teatralnych; dalej, Jan Jeleński, podnoszący nieustannie doniosłość roli, jako źródła — niezawodnych zysków.

Należeli, między innymi, do przygodnych pracowników: Klemens Junosza, pisarz niepośredniego talentu, autor „Ła-  
ciarza“, zamaszysty Adam Breza (Go-  
raj), którego debiut literacki, upamiętniony  
dyatrybą przeciw Piotrowi Chmielowskiemu skierowaną, zakończył się pokiereszo-  
waniem autora tendencyi w literatu-  
rze szablami rozjątrzonych przeciwników.

Zjawiał się niekiedy w redakcyi ostro-  
żnie i nieśmiało sławetny p. Aaron Te-  
nenbaum, odbiorca przysięg w sądach,  
a w chwilach wolnych — dostawca szarad  
kuryerkowych, w rodzaju:

*Pierwsze i drugie* — to jest zwierz kopytkowy,  
*Pierwsze i trzecie* — ozdabia damskie głowy;  
*Wszystkie razem*, na wojnie strasznie goni —  
Niech nas Bóg od tego zabroni!

lub też:

*Pierwsze* znaczy dół, *drugie* — przeznaczenie,  
*Wszystko razem* — kortowe odzienie...

typ pocieszny, jakby z Albumu Piwarskiego wyrwany, unieśmiertelniony w *Lalce* Prusa, pod postacią Szlangbauma...

---



## XVII.

Najazd Gallów. — Tadzio a Tadeusz Czapelski. — Jego poprzednik. — Feliks Fryze. — Podróż pod obłoki i za ocean. — Trwogi pana Wacława. — Sekretaryat Kuryera. — Zenit powodzenia. — Płaszcz hidalga i ponsowy krawacik Czapelskiego.

**R**uchliwość kilku pisarzy, którzy, około roku 1875, przybyli z Galicyi na bruk warszawski i wstąpili w szranki dziennikarskie, obudziła między niektórymi literatami rodzaj cichego niezadowolenia.

Szeptano sobie o „najeździe Gallów“, sarkano na wpływ, jaki rzutkością swoją wywierać zaczął w gronie redakeyjnem

jeden z najmłodszych z pomiędzy „gali-leuszów“ — Tadeusz Czapelski, lecz kwasy te powoli uśmierzyły się i zaczęto się oswajać z myślą, że *Kurjer*, jako pismo popularne, wymaga współdziałania sił różnorodnych, tonu lekkiego, potocznego, odpowiedniego upodobaniom „warszawiaków“.

Czapelski wkrótce po swoim wstąpieniu do redakcyi *Kuryera*, około r. 1876, zdystansował na daleką metę dotychczasowego szefa reporterskiego działu tego piśma — Felixa Fryzego.

Fryze — był typem iście amerykańskiego dziennikarza. Nieoceniony towarzyszu, dobry kolega, niewyczerpanego humoru, zawsze był gotów do wszelakich karkołomnych wycieczek w sfery chmur, oceanu, lub w kłęby dymu każdego po-

żaru, do którego pierwszy zwykle spieszył na ratunkowej beczce.

Zanim sam w r. 1876 stanął na czele *Kuryera Porannego*, który zaczął budzić warszawiaków ze snu i opowiadać im do poduszki o rozmaitych skandalikach, i zmusił wreszcie pana Wacława do dwukrotnych dziennie edycyj *Kuryera*, (co w publicystyce polskiej było ważną innowacją,) był Fryze w *Kuryerze Warszawskim* szefem reporterów miejskich, niewyczerpanym w pomysłach gloryfikaeyi strażaków gasicielem pożarów.

On pierwszy z dziennikarzy warszawskich puścił się z areonautą Bunelem w nadpowietrzne strefy, ku wielkiemu przestachowi pana Wacława, któremu wiele zależało na życiu tak dzielnego współpracownika, lecz niemniej pragnął przed tak

karkołomną wycieczką uregulować „zaliczki“, jakie ciążyły na sumieniu odważnego nadpowietrznego żeglarza.

Kiedy już wszystkie argumenta, przeciw owej wycieczce skierowane, wyczerpały się, a Fryze, bez sporządzenia testamentu zamierzał wznieść się w obłoki, pan Wacław, widząc bezowocność wszelkich przestróg, polecił przedewszystkiem sporządzić bilans i saldo balonisty, które wykazały znaczny na niekorzyść kasy redakcyjnej niedobór.

Spadł Fryze bez nadłamania karku w okolicach Warszawy i odrobił niebawem swój dług opisami nadziemskich wrażeń, jakich doznał, wzniosłszy się nad padół—placu Teatralnego, lecz mu to nie przeszkodziło, że skorzystał z pierwszej sposobności, by również, bez uregulowania

zaliczek, popłynąć za ocean, z kądl nadsyłał korespondencye, traktujące o sprawach amerykańskich ze stanowiska „warszawskiego“.

Taka awanturniczość pomysłów była niejako cechą usposobienia Fryzego i niepospolitym jego zdolnościom nadała niesystematyczny, dorywezy kierunek.

Pamiętam go jeszcze z czasów gimnazjalnych, jako jednego z wyjątkowo utalentowanych młodzieńców. Była to najlepsza głowa matematyczna. Wróżono Fryzemu świetną karierę na polu naukowem, uwielbiano go, jako wesołego, zawsze do psich figlów skłonnego towarzysza zabaw.

Takim, jakim był na ławce szkolnej, pozostał Fryze i w dojrzałych latach zawodu dziennikarskiego.

Po opuszczeniu *Kuryera Warszawskie-*

go, ustąpił miejsca następcy swemu — Czapelskiemu, a doświadczenie okazało, że pismo pana Wacława na zmianie tej nie wiele straciło.

Bez pretensyi do literackich wawrzy-  
nów, górował Czapelski nad innymi — zdol-  
nością do szybkiego informowania czytelników o wszystkich wypadkach dnia i nadawania im owej formy „*all right!*“ która niemal że przysłowiową się stała.

Znalazłszy się na bruku warszawskim, Czapelski, w krótkim czasie zżył się do tego stopnia z atmosferą Warszawy, że zatracił w sobie wszelkie cechy prowincjonalnego dziennikarza.

Łącząc z niewyczerpanym humorem i zdolnością jednania pismu zwolenników i przyjaciół — pracowitość wyjątkową, zdołał p. Tadeusz podbić serce redaktora,

który też widząc tyle zdolnego i oddanego pismu pracownika, zdał rządy pisma w jego ręce i zjawiał się w redakcyi jedynie dla spędzania na partyjce szachów paru godzin, w wesołym gronie współpracowników.

Pod sterem Czapelskiego zyskał *Kurjer* wiele na żywotności, a zenitem jego powodzenia była epoka awantur z żydami, gdy po uśmierzeniu się namiętności, zaczęła prasa nawoływać do upamiętania się i pod wpływem artykułów Prusa, stawszy się orędowniczką klas rzemieślniczych, utworzyła dla nich ze składek publicznych kasy pożyczkowe.

Stał się podówczas Czapelski osią główną, około której, przez czas dosyć długi, obracała się redakcyjna machina.

Zawsze wesoły, rzutki i towarzyski,

w płaszczu hiszpańskiego hidalga, z pon-sowym krawatem na szyi i angielskimi bokobrodami, był Czapelski postacią bardzo popularną na bruku warszawskim, a w gronie redakcyjnym *Kuryera* wytworzył towarzyskie ognisko, organizując cią-głe zabawy i „rybki“, na których niewy-czerpanym zachwycał humorem.

---



## XVIII.

Wykolejone, nadłamano i złamane egzystencye. — Wołody Skiba. — Praca dla chleba i czwarty wymiar.

**R**edakeye pism warszawskich, a więc i redakcyja *Kuryera Warszawskiego*, obfitowały w epoce, o jakiej tu mowa, w znaczną liczbę wykolejonych, nadłamanych egzystencyj.

Rzadko który z młodzieńców, po opuszczeniu ławy szkolnej, lub uniwersyteckiej, znajdował zajęcie odpowiednie swe-

mu uzdolnieniu, lub fachowemu wykształceniu. Chemik stawał się prawnikiem; mechanik wchodził do „interesu bankierskiego“; filolog znajdował zajęcie biurowe „u Kronenberga“; przyrodnik układał tablice statystyczne „dla Blocha“; estetyk pilnował regularnego biegu pociągów na drogach żelaznych; pedagog pracował w Towarzystwie kredytowym ziemskim; historyk — w Towarzystwie miejskim; matematyk sprawdzał racye żywności, wydawane w „osadach rolnych“; inżynier ślęczał w wydziale „ochronek“ przy Towarzystwie Dobroczynności; poeta pracował nad ustawą dla „szwali warszawskich“.

Konieczność zapewnienia sobie na czarnej godzinie kawałka chleba, zmuszała młodzież do chwytania się wszystkiego, co-

kolwiek zapewniało kilka godzin zajęcia dziennego i jaką taką pensyjkę miesięczną.

Obok takiej tłumnej kategorii wykolejonych, była także i spora liczba nadłamanych, lub też zupełnie złamanych egzystencji, dla których, praca redakcyjna, znużająca i wyczerpująca, była niejako deską ocalenia, ale jednocześnie i tą deską, co przygniata ciężarem swoim mózgi, nie pozwalając im bujać po przestworzach.

Nie wiem, zaiste, do jakiej kategorii należałoby mi zaliczyć Władysława Sabowskiego, który, właśnie, pod koniec epoki, o jakiej mowa, wstąpił „do *Kuryera*“ w charakterze pomocnika sekretarza redakcyjnego.

Znaliśmy wszyscy Wołodego Skibę, jako ongi redaktora dawniejszej *Prawdy*,

(wslawionej ostrzeżeniem „pierwszem“, za artykuł *Ruch i dyplomacya*), znaleźliśmy go jako tłumacza cudnej „Białej szaty“ Hartmana i strof Petoefiego, jako powieściopisarza i publicystę; lecz dla szerszego ogółu nieznanym pozostał kierunek mistyczno-metafizyczny zajęć Sabowskiego, gdy będąc na obczyźnie, zawzięcie oddawał się badaniom „nad czwartym wymiarem“, lub też robił obliczenia w sprawie kierowania balonami.

Praca dla chleba przerwała tok formułek matematycznych marzyciela i przykuła go do redakcyjnego stołka, gdzie mu kazano być — wszystkowiedzem: być encyklopedyą wiadomości dla tych, co, z braku lepszego zajęcia, szukali w „odpowiedziach od redakcyi“ informacyi co do nazwy któregoś z Faraonów 37 dynastyi,

pochodzenia Ariobarzanesa, tytułów dzieł jakiegoś poety bretońskiego, różnie przedmiotowych między utworami pisanymi w językach „*d'oc*“ i „*d'oil*“, najłatwiejszego sposobu dostania się do Iquique, lub wreszcie, daty stanowczej bitwy między Urugujczykami a Perugujczykami...

Obok takich denerwujących zajęć musiał Sabowski układać po nocach plany wielotomowych przygód „Grzesia“ i w ciągu dnia znajdować jeszcze parę godzin dla pogawędki z przyjaciółmi przy „kufelku piwa“, który miał zawsze dla niego, krótkoszyjnego apoplektyka, urok — zakazanego owocu...

W życiu potocznem nieco w sobie zamknięty, miał jednak Sabowski dla tych, z którymi sympatyzował, uśmiech szczery

na twarzy i dowcipną zawsze dykteryjkę w pogotowiu.


Z przygodnego zrazu pracownika, stał się Sabowski, po krótkim nowicyacie, ważną w redakcyi *Kuryera* siłą, zastępcą z urzędu wszelkich czynności redaktora i sekretarza, lecz dla tych, co znali przeszłość Wołodego Skiby, jego polot poetycki i skłonność do metafizycznych badań, owa przymusowa „robotą“ dziennikarska, do jakiej go konieczność wprzegła, była jeszcze jednym więcej dowodem owej miszeryi życiowej, która częstokroć nie pozwala istotnym zdolnościom wybujać ponad poziomy, skazując je na powolne we własnym ogniu strawienie...

---



## XIX.

Pan Zygmunt. — Legatowicz, Węgierski i dramat Fredry. —  
Dziwne roztargnienie. — Nos Czerniejewskiego. — Urbaś  
Sobolewski. — Ceny targowe drobiu. — Dział ogłoszeń. —  
Najpożyteczniejszy pracownik.

prócz wymienionych matadorów re-  
dakecyjnych gromadziło się w *Ku-  
ryerze* grono pracowników przygodnych,  
bez których redakeya pisma codziennego  
obejść się nie może.

Z legionu takich dorywczych literatów  
podnieść należy typową postać „pana  
Zygmunta“, który po latach wesołego ży-

wota, znalazł nareszcie w *Kuryerze* wygodny i ciepły kącik, a przedewszystkiem sposobność do odświeżania kawalerskich swoich wspomnień...

Musiały owe wspomnienia być wielce pociągającymi, skoro znajdowały zawsze chętnych słuchaczy, pobudzając ich do nieustannych wesołości wybuchów.

Pan Zygmunt (takie nosił nazwisko) był niepoślednim rymotwórcą i to stanowiło jego dumę, a nawet przedmiot emulacyi z p. Wacławem, gdyż jeśli ten ostatni nie mógł dobrać stosownego rymu do karkołomnego wyrazu, wyręczał go w tej mierze pan Zygmunt i, nie rzadko, bardzo udatnie.

Zawsze uśmiechnięty, z gotową, arecypieprzną anegdotką w zapasie, chował p. Zygmunt ulotne wierszyki Węgierskiego i Lega-

towicza, umiał na pamięć dramat młodzieńczy Fredry i przygody ojca Gaudentego, darząc niemi na zawołanie wesołe gronko słuchaczy.

Do tego kawalerskiego usposobienia łączyło się w panu Zygmuncie dziwne roz-targnienie, które było źródłem nieustan-nych docinków, ze strony członków grona redakcyjnego. Wymawiano mu np. że raz, w pośpiechu, pozostawić chciał, w szu-fladzie komody, coś, bez czego, w to-warzystwie niewiast pokazać się nie można...

Docinki te przyjmował nasz rymotwór-ca dobrodusznie i szczęśliwym był, jeśli go chwalono za wybór powinszowań i do-bór rymów, w owych niewinnych, literaturze żadnej szkody nie przynoszących produk-cyach.

Innym, charakterystycznym typem był „pan Czerniejewski“, redaktor „naczelných artykułów“, obejmujących sprawozdania z uroczystości kościelnych; figurka niziutka, o czerwonym, świecącym się już zdala nosie.

Dyspozytorowie drukarni, pp. Konarski i Skowroński, cieszyli się wielką powagą w redakcyi, od nich bowiem zależała szybkość w układzie numerów i dobór odpowiednich, w oczy bijących, czeionek.

Trudno wreszcie nie wspomnieć „Urbasia“ Sobolewskiego, który piastował berło sprawozdawcy z rynku targowego, choć mało się owym rynkiem interesował.

Roztargniony, jak i pan Zygmunt, przynosił częstokroć zabawne informacje,

między innymi, „że dnia wczorajszego, z drobiu — sprzedawano sarny i zające po rs.... sztuka.“

Gdy się dział ogłoszeń *Kuryera* rozszerzył i zaczął stanowić poważną rubrykę dochodów pisma, zawiązały się trwalsze, na wzajemności interesu oparte, stosunki z p. Alexandrem Rajchmanem i zaczęto go uważać za „najpożyteczniejszego współpracownika.“

Pomimo pozornej rozpaczki p. Wacława i jego utyskiwań nad zwiększającym się stopniowo nakładem wydawnictwa, w którym, ilość ogłoszeń, jakoby w odwrotnym do zysków z prenumeraty pozostawać miała stosunku, z rozkoszą spoglądano na ostatnie stronnice *Kuryera Warszawskiego*, gdzie, gęstym zasiane maczkiem ogłoszenia, dowodziły stopnio-

wego wzrostu popularności pisma i niepośledniego jego rozpowszechnienia na rynku interesów kieszeniowych jego czytelników.

---



## XX.

Wydział dobroczynności. — Panna Aniela i Bijou. — Artyści i obieżywiaty. — Nevill. — Bibka brytańska u Boqueta. — Rymokleci. — Kosz redakcyjny. — Niewiasty piszące. — Jubileusz wydawców. — Gustaw i Robert. — Toast palestranta. — Pan Gecel. — Zgon Szymanowskiego. — Awentynska góra. — Zmiana redakcyi i wydawców.

**Z**awdzięczał *Kuryer* Szymanowskiego swoją poczytność i popularność nie tylko uniejętnej redakcyi, lecz i owej spółni, jaka go, na polu praktycznego stosowania dobroczynności doraźnej, z mniej zasobnemi klasami ludności kojarzyła.

Wydziałem wsparć kierowała popularna w mieście panna Aniela Bogusławska,

osobistość typowa, sympatyczna, zabiegliwa, nie tylko swemu pieskowi „Bijou“, lecz i sprawom biedaków całą duszą oddana.

Spotykano ją zawsze otoczoną gronem uczniów, wdów, sierot, rzemieślników bez zajęcia. Wszystko to garnęło się do niej, szukało wsparcia i opieki, w tem przekonaniu, że, o ile tylko panna Aniela losem biedaka się zajmie, to i pomoc doraźna dlań się znajdzie. I nie zawodziły się w rzeczy samej na tej nadziei zgłodniałe biedaków rzesze...

Ciepło zredagowany pod wpływem panny Anieli artykułik, wzywający czytelników do składek, zawsze chętnie znajdował poparcie ze strony ogółu. Stał się *Kuryer* niejako prywatną filią Towarzystwa Dobroczynności, kasą oszczędności, do której

spływało zewsząd grosiwo, rozdzielane bezzwłocznie, między najczęściej potrzebujących „a wstydzających się żebrać“ biedaków.

Oprócz grosiwa płynęły do archiwum panny Anieli dary w naturze, książki i odzież dla uczniów, maszyny do szycia dla szwaczek, posady dla zbiedniałych obywateli wiejskich, zapomogi dla rzemieślników.

Od rana do wieczora kupiły się w bramie redakcyjnej tłumy, wyczekujące pojawienia się panny Anieli, jej ciepłego i miłosiernego słowa, jej opieki, którą bezstronnie i z rzadkim taktem, zasługującym na tę pomoc, udzielała.

Ta strona działalności społecznej *Kuryera Szymanowskiego*, pozostawiła po so-

bie piękną tradycję, szanowaną nawet przez przeciwników owego pisma.

Lecz nie tylko zgłodniaли i biedni ubiegali się o protekcję „organu z Placu Teatralnego“.

Artyści, podróżnicy, cały ów barwny tłum przybłędów zagranicznych, talentów i talencików wszelakiego gatunku i wartości, wszystko to garnęło się do *Kuryera*, by zjednać sobie łaskawe słówko zalecenia względem publiczności, ze strony pana Wacława i jego otoczenia.

W szczupłym i niepokaźnym pokoiku redakcyjnym odbywano przedwstępne próby rozmaitych sztuk prestigitatorskich, deklamatorskich, muzycznych etc. i głośny amerykański aktor, Neville, zanim zdusił *Desdemonę* na deskach Teatru Wielkiego, już w wilię występu krzyczał na całe

gardło do członków redakcyi: „*My handkerchief!*“ lub też, udając Hamleta, pomrukiwał pytająco: „*To be, or not to be?*“ by dobić się uznania i rozgłosu między Warszawiakami, przyzwyczajonymi wierzyć na ślepo temu, co „pisało, lub stało“ w *Kuryerze*, na co mu też „representant prenumeratorów“, w specyjalnie na cześć jego urządzonej bibee u Boqueta, łamaną angielszczyzną odpowiedział.

Rymokleci i noweliści od siedmiu boleści, zanim się dostawali do kosza redakcyjnego, pożądliwie oczekiwali odpowiedzi, w którejby nazwisko swoje, bezpłatnie wydrukowane, wyczytać mogli, z dodatkiem: „nie do druku“, lub ze słowem zachęty, pociechy, pobłażania, lub beznaziejnego potępienia. Wydostawał się czasami taką drogą nie jeden ukryty talen-

eik; nie jeden znów, zawiedziony w nadziejach, rzucał w zaczątku drogi szlak ciernisty literackiego rozgłosu i — zbawiał ludzkość w inny sposób...

Jako ognisko najprzeróżniejszych wpływów, stosunków, ambicyjek i znajomości, stał się niebawem *Kuryer* Szymanowskiego arcy-przyjemnem ogniskiem towarzyskich zebrań, gdzie, w popołudniowych godzinach dnia, schodziło się wszystko, cokolwiek w życiu potocznem warszawskiem, grało, lub grać chciało, wybitniejszą rolę. I płeć piękna, uprawiająca literackie robótki damskie, nie gardziła towarzystwem kuryerkowem, w którem, Prus i pan Wacław, na wyścigi starali się przypodobać „niewiastom piszącym“ i z wyszukaną galanterią swe hołdy ich talentom składali.

Nie rzadko całe redakcyjne grono przenosiło ognisko swych zebrań do gościnnych komnat pana Gustawa Gebethnera, w ogrodzie Instytutu Głuchoniemych, w odludnym domku urządzonych i podziwiał tam mistrza w przyrządzaniu rozmaitego koloru i smaku nalewek i prawdziwego hultajskiego bigosu. Zebrania te dawały asumpt do wesołych toastów i pobudzały do dobrego humoru nawet wiecznie zakłopotanego i wiecznie z czegoś niezadowolonego pana Roberta Wolffa.

Jubileusz 25-cio lecia wydawniczej firmy, uczczony gwarnem i wesołem zebraniem w salonach Resursy Obywatelskiej, nastęrczył młodzieży redakcyjnej sposobność do uwydatnienia towarzyskiej spójni, jaką powodzenie pisma między pracownikami jego wytworzyło i dało asumpt do

humorystycznych mówek na cześć jubilatów.

„Wie z nas to każdy (a może nie wie?)  
Że spółki szatan wymyślił w gniewie,  
Że chcąc, by ludzie mieli przyczynę  
Brać się za bary i za czuprynę,  
Wzbudził w nich chęci zgubne, zdradzieckie,  
By zawierali — współki kupieckie  
I wśród juristów (wszech-enót czcicieli)  
Najzawołniejszych przyjaciół mieli.

Zaprzeczyć temu chęć bierze szczerą,  
Gdy widzimy Wolffa i Gebethnera,  
Jak ci zrośnięci bracia Syamezycy  
Wspólnie działając w swojej księżnicy,  
Rąk mają kilka, pedały zdrowe,  
A jedną tylko do współki głowę...

Gdy się pobrali przed wielu laty,  
Jeden był — chudy, drugi — pękaty,  
Jeden był — niski, drugi — wysoki,  
Gdzie kark miał jeden — drugi miał boki...  
Jeden, pokornie chadzał piechotą,  
Drugi zaś konno jeździł z ochotą,

Jeden hołdował wieszczkom z zapalem,  
Drugi — umykał przed niemi czałem...  
Jeden — nalewkę warzył siarczystą,  
Drugi — studzianką krzepił się czystą,  
Jeden — cygara kurzył hawańskie,  
Drugi — kanony ćmił franciszkańskie,  
Jeden był jurny, flegmatyk drugi...  
Słowem, przeciwieństw stek był tak długi,  
Że, choćbyś siła dowodów użył,  
Nikt — takiej współce szczęścia nie wróżył...

Lecz ot! po latach pracy wytrwałej,  
Tak się sprzeczności te wyrównały,  
Że nikt się dzisiaj o to nie spiera:  
Że ponad Wolffa i Gebethnera,  
Ponad dwie kwinty w śpiewnym duecie,  
Niema zgodniejszej spółki na świecie!  
Odwiedźcie tylko znaną księgarnię,  
A duszę waszą zachwyty ogarnie,  
Gdy zobaczycie, jak ci wspólnicy  
Zgodnie — banknoty liczą w skarbnicy...  
Jak harmonijna tam atmosfera  
Z każdego kątką jasno wyziera,  
Jak przeciwieństwa — zkaład wrogie --  
Pędzą tam życie przyjemne, błogie...

Pod dobroczynnym fortuny wpływem  
Obaj wspólnicy — silnem ogniwem  
Sprzęgli się w jedną duszę i ciało...  
Z różnie dawniejszych — nie nie zostało!  
Obaj są dzielni, obadwaj zuchy,  
Pękate mają kalbzy i brzuchy,  
Jednakie gusta do uciech świata...  
Już dziś i Robert chyłkiem nie zmiata,  
Gdy, kawalerskie zawodząc śpiewki,  
Gustaw mu sławne kropi nalewki,  
I, z pięknej strony malując życie,  
Do zrad małżeńskich namawia skrycie...  
Mógłbym tych grzeszków wytknąć legiony,  
Ale zamileczę... przez wzgląd na żony...  
W takt równomierny pracując dalej  
Wspólnicy — synów się doczekali...  
A tak szli zgodnie z sobą w zawody,  
Że owe płonki — jak krople wody,  
Są do swych ojców podobne z miny,  
Z swych upodobań, gestów, czupryny...

Jeden, wysmukły, wiotki blondynek,  
To nieodrodny — Roberta synek,  
Drugi — czupurny, krępy, ognisty,  
To znów Gustawa syn oczywisty...

Obaj już, idąc za ojców śladem,  
Trzęsą księgarskim firmy zakładem,  
Obaj — badają smak czytelniczy...  
I chcą ożywić ruch wydawniczy...

Jeden — którego gusta są znane,  
Ilustrowaną chce wydać Nanę...  
Drugi się większym planem mozoli,  
Bo chce kompletne dać dzieła Zoli...  
I, by w nich złączyć wszystkie zalety,  
Suchorowskiego chce dać winiety...  
Jeśli zaś pójdą edycje owe,  
To — artystyczną chce wznieść albowę,  
By, wśród gasnących lamp Edisona,  
Każdy mógł Nany dotknąć się łona...

Wprawdzie to jeszcze płonne zamiary...  
Bo, szczęściem, Gustaw jest jeszcze jary,  
I Robert *Lupus* ma zęby jeszcze...  
Oni te plany niszczą złowieszce  
I, by uśmierzyć synów nałogi,  
Każą im pisać nót katalogi,  
Lub, dla zduszenia takich wybryków,  
Czytać korekty — modlitewników...

Więc się nie trwóźcie, matki! ojcowie!  
Młodym — jak młodym — pali się w głowie,  
Radziłyby ojców pchnąć na tor nowy,  
Prześcignąć ręczność firmy Ungrowej,  
Lecz to nie łatwa z starymi sprawa!  
Dla nich księgarstwo — to nie zabawa!  
To święty zawód, to misya, panie!  
Wydawać książki mądre — a tanie,  
Badać puls życia, jego potrzeby,  
Szerzyć oświatę wśród ojców gleby,  
Mieć dla autorów kieszeń ofiarną,  
I dziatwie rzucać pożywne ziarno,  
Na czytelnictwa niwie jałowej  
Krzepić plon nauk, rodzimy, zdrowy,  
Oto — w czem główna treść się zawiera  
Zasługi Wolffa i Gebethnera!

Gdy ćwierć stulecia znowu upłynie,  
Znów się zbierzemy o tej godzinie  
I przy biesiadnym, wesołym stole,  
Pełnić będziemy sędziowskie role,  
Sprawdzimy wówczas na zasług szali,  
Czy młodzi z ojców rad skorzystali,  
Czy z współką ojców idąc w zawody,  
Cnót wydawniczych dali dowody?

A gdy się sprawdzą nasze nadzieje,  
Każdy z nas pułkarz wina naleje,  
I wzniesie toast gorący, szczery,  
Niech żyją Wolffy i Gebethmery!

Wycieczki zamiejskie, gromadnie przez redakcyę *Kuryera* na Saską kępę urządzone; składkowe, skromne biesiady, na trawie, przy akompaniamencie okrzyków zręcznego Gecla: *pik! pik! szanżo pik!* i orkiestry melancholijnych żydków, którzy z zalecenia Czapelskiego exponowali zupełne wydanie majufesu, z dodatkami i wariantami na nutę krakowianka — również do miłszych wspomnień z epoki, o jakiej mowa, należą i zasługują na dobrą pamięć w gronie, dziś już podstarzałych i osowiałych, ich ongi uczestników.

\*

\*

\*

Ku schyłkowi roku 1886 nastąpił zgon Wacława Szymanowskiego, a z tą chwilą rozluźnił się węzeł spójności, jaki dotychczas sprzęgał wydawnictwo z jego pracownikami, i spowodował wreszcie stanoweze między nimi zerwanie. Drobne nieporozumienia w łonie redakcyi, w obce braku owego kitu, który jednoczył ściśle między sobą rozmaite sprzeczne żywioły, przeszły w stan zapalny. Sprowadzeni lekarze-prawnicy uznali, że ów stan może łatwo przejść w niebezpieczne zaognienie i dla tego uradzili stanowczą amputacyę, w formie rozwiązania spółki dotychczasowej...

Po długich rokowaniach określoną została przez firmę Gebethnera i Wolffa suma, za którą spadkobiercy Szymanowskiego mieli prawo zatrzymać wydawnictwo na rzecz własną, lub też poprzestać

na jej otrzymaniu od Gebethnera i Wolffa i zostawić im własność *Kuryera*.

Spadkobiercy Szymanowskiego wybrali drogę pierwszą, a gdy rokowania z hrabią K. o zaliczenie potrzebnego kapitału rozehwiały się, zwrócili się oni do jednego z poważniejszych wydawców, S. Lewentala, z propozycją przystąpienia do spółki. Tym razem układy doprowadziły do pożądanego dla stron obu rezultatu i wydawca b. *Kłosów*, spłaciwszy udziały Gebethnera, Wolffa i Wł. Bogusławskiego, zawiązał ze spadkobiercami Szymanowskiego długoletnią spółkę.

Redakcyja naczelna *Kuryera* pozostała i nadal przy Franciszku Olszewskim, który, jako członek rodziny Szymanowskich, już po śmierci redaktora kierownictwo pisma urzędownie prowadził.

Gebethner i Wolff zachęceni namowami swych przyjaciół, nabyli na własność wydawnictwo *Kuryera Codziennego*, a za nimi pociągnęło wielu z dawniejszych współpracowników Szymanowskiego, między innymi, takie siły, jak np.: Bogusławski, Prus, Sabowski.

Zdawało się, że *Kuryerowi Warszawskiemu* niepomierne zaszkodzi owa tłumna emigracya osobistych przyjaciół Gebethnera i Wolffa do nowego obozu, lecz siła rozpędu owego pisma była już tak niespożyta, że, jak okazało doświadczenie, *Kuryer Warszawski* nie tylko nie ze swej dawnej popularności nie utracił, lecz nawet, pod sterem młodego swego, bardzo rzutkiego i pomysłowego redaktora i przy znacznym nakładzie pracy i kapitału, zyskał wiele na żywotności.

W nowym składzie redakcyjnym, w którym i wielu z dawniejszych pracowników pozostało, *Kuryer Warszawski*, ani na jotę nie odstępując od swego dawniejszego typu, do którego już się oko czytelników przyzwyczało, postarał się z powodzeniem o zjednanie sobie opinii najlepiej informowanego i informującego pisma.

Siła okoliczności oddziałała nieco na jego tradycyjne rozmiłowanie się w ciasnym kółeczku miejskich wyłącznie interesów, lecz, w gruncie rzeczy, pozostał *Kuryer* wiernym owym tradycyom, które go uczyniły, niezaprzeczenie, jednym z najbardziej rozpowszechnionych i najpoczytniejszych pism polskich.

K O N I E C.

## SPIS RZECZY.

---

WSTĘP . . . . .	I
ROZDZIAŁ I. Agonia Kurjera Warszawskiego. — Dmu- szewski i jego następcy. — Karol Kucz. — Narodziny Kurjera Codziennego. — Pani Za- błocka. — Zaborowski. — Odyniec. — Rekla- ma na scenie. — Codzienny górą! — Miron. — Układ Szymanowskiego z Gebethnerem i Wol- fem. — Chęciński. — Alexander Walicki. . . . .	7
ROZDZIAŁ II. Pomyślne początki. — Frykcy. — Ale- xandrowicz i Statkowski. — Polemika z Go- losem. — Wzrost prenumeraty. — Nieporozu- mienia. — Ustąpienie Statkowskiego. — Za- wieszenie wydawnictwa. — Herman Bonni. . . . .	17
ROZDZIAŁ III. Obozy i kółeczka. — Wacław Szyma- nowski. — Wpływ Henryka Rzewuskiego. — Uczony a literat. — Kronikarz i fejletonista. — Rozczarowania pana Wacława. — Interpelacya Świętochowskiego. — Odpowiedź Szymanow- skiego. . . . .	25
ROZDZIAŁ IV. Aspiracye i ambicyjki pana Wacława. — Niezrównany deklamator. — Karkołomne ry- my. — Produkcye rymów białych. — Audyto- ryum Szymanowskiego. . . . .	34

ROZDZIAŁ IV. Życie redakcyjne. — Bibki. — Pianino urzędowe. — Sienkiewicz. — Bliziński. — Anzyc. — Jenike. — Ojciec Wincenty. — Leo. — Felicyan. — Reprezentant prenumeratorów. — Niespodzianka. — Odyssea wydawców. — Nowa maszyna. — Man muss putzen! — Zgon Zabłockiej. — Format nowy. . . . .	41
ROZDZIAŁ V. Pan Wacław u siebie' — Fatersztul, szlafrok i fez. — Wspaniała kolekcja cygarniczek. — Kij Paracelsa. — Mistycyzm Szymanowskiego. — Eklerki, seanse i wirujące stoliki. — Sędziwój. — Kurjer a Kurjerek. — Jubileusz Kucza. — Totek Lebrun. — Zemsta. — Popiel i Kucz . . . . .	51
ROZDZIAŁ VII. Przybocznik pana Wacława. — Nieproszony sekretaryat. — Podróż do Lublina. — Inżynier i jego pomocnicy. — Antykwaryusz. — Dziwna ignorancja. — Brajbisz! — Słabostki sztykowca. — Komplecik Gawalewicza. . . . .	62
ROZDZIAŁ VIII. Przed burzą. — Artykuł Lubowskiego. — Kampania młodszych. — My i wy! — Juste milieu. — Wewnętrzne ulepszenia. — Honoraria. — Jubileusz Szymanowskiego. — Toast palestranta. . . . .	70
ROZDZIAŁ IX. Miron. — Sobowtór Musseta. — Idealna trójca. — Weltschmerz. — Lazury i bruk uliczny. — Modrzejewska — Pieśni. — Pchła i rabin. — Atak flankowy. — Miron sobą i u siebie. — Ongi a dziś. . . . .	79
ROZDZIAŁ X. Władysław Bogustawski. — Estetyk i dziennikarz. — Fejletony teatralne. — Siły i środki. — Stoń Łuniewski. — Vis inertiae. — Natchnienie i chłopak redakcyjny. — Siesty pana Kazimierza. . . . .	94

ROZDZIAŁ XI. Stanisław Krzemiński. — Filozofia i życie. — Dzieło niedokończone. — Le mieux c'est l'ennemi du bien. — Erudycja. — Arena właściwsza. — Człowiek i kolega. . . .	102
ROZDZIAŁ XII. Binom Newtona i literatura. — Bolesław Prus. — Treny na śmierć Azorka. — Pierwsza wizyta. — Delegacja do Prusa. — Great attraction. — Partyjki szachowe. — Papierówki. — Talent z bożej łaski. — Realizm domorosty. — Kroniki tygodniowe. . . .	108
ROZDZIAŁ XIII Sfery teatralne. — Komedyopisarze. — Kazio Zalewski. — Prawnik-dziennikarz. — Spiritus flat — Wzajemna adoracja. — Mistrz i uczeń. . . . .	119
ROZDZIAŁ XIV. Edward Lubowski. — Nietoperze. — Współzawodnictwo. — Maryan Gawalewicz. — Benjaminek redakcyjny. — Milusińscy. . . .	125
ROZDZIAŁ XV. Wiktor Gomulicki. — Poezya i życie. — Umiłowania. — Nerwy i robota dziennikarska. — Pamiętna chwila. — El mole rachmim. . . .	132
ROZDZIAŁ XVI. Antyteza. — Adam Niemirowski. — Bibliografia notaryatu. — Poliglotyzm. — Dziwny rachunek. — Franciszek Olszewski. — Bronisław Zawadzki. — Czestaw. — Teodor Jeske Choński. — Przyrodnik kuryerowy. — Assekuracja i apopleksya. — Filipowski. — Szober. — Jeleński. — Goraj. — Aron szaradzista. . . . .	139
ROZDZIAŁ XVII. Najazd Gallów. — Tadzło a Tadeusz Czapelski. — Jego poprzednik. — Feliks Fryze. — Podróż pod obłoki i za ocean. — Trwogi pana Wacława. — Sekretaryat Kuryera. — Zenit powodzenia. — Płaszcz hidalga i ponsowy krawacik Czapelskiego. . . . .	152

ROZDZIAŁ XVIII. Wykolejone, nadłamane i złamane egzystencye. — Wołody Skiba. — Praca dla chleba i czwarty wymiar. . . . .	160
ROZDZIAŁ XIX. Pan Zygmunt. — Legatowicz, Węgierski i dramat Fredry. — Dziwne roztargnienie. — Nos Czerniejewskiego. — Urbaś Sobolewski. — Ceny targowe drobiu. — Dział ogłoszeń. — Najpożyteczniejszy pracownik. . . . .	166
ROZDZIAŁ XX. Wydział dobroczynności. — Panna Aniela i Bijou. — Artyści i obieżyświaty. Nevill. — Bibka brytańska u Boqueta. — Rymokleci. — Kosz redakcyjny. — Niewiasty piszące. — Jubileusz wydawców. — Gustaw i Robert. — Toast palestranta. — Pan Gecel. — Zgon Szynowskiego. — Awentyńska góra. — Zmiana redakcyi i wydawców. . . . .	172

# KARTKI HISTORYCZNE I LITERACKIE.



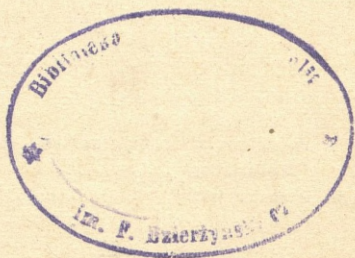
## I.

I. Poselstwo Jakóba Śmiarowskiego do Bohdana Chmielnickiego . . . . .	Str. 1
II. Dramat rodzinny . . . . .	22

## II.

III. Piotr Węzyk Widawski . . . . .	33—152
IV. Sylwetki literackie z niedawnej przeszłości . .	1—192







12 101 /  
/ 1